ODWIEDZINY BABUNI

CZYLI

POWIEŚCI

dla zabawy grzecznych dzieci

NAPISANE

przez

ANNĘ NAK.....



W WARSZAWIE.

W DRUKARNI A. GAŁĘZOWSKIEGO I KOMP.

PRZY ULICY ŻABIEJ POD NREM 472.

1833.

Odwiedziny Babuni

CZYLI

POWIEŚCI

dla zabawy grzecznych dzieci.

ODWIEDZINY BABUNI

CZYLI

POWIEŚCI

dla zabawy grzecznych dzieci

NAPISANE

przez

ANNĘ NAK.....



W WARSZAWIE.

W DRUKARNI A. GAŁĘZOWSKIEGO I KOMP.

PRZY ULICY ŻABIEJ POD NREM 472.

1833.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

WSTĘP DO POWIESCI.

Dobra Babunia, jest to skarb prawdziwy, dla was kochane moje dzieci! Zastępuje ona w staraniach około was *Mamę*, *kiedy ją* zatrudnienia, słabość, albo towarzyskie zabawy, od was się oddalać zmuszają. Daje ładne lalusie grzecznym dziewczynkom, koniki chłopczykom, podwieczorki, albo smaczne śniadania, i jednym i drugim, kolędy na Nowy Rok, wiązania na imieniny, wszystko to macie, od dobréj Babuni; kiedyście bogobojne, *grzeczne*, i *posłuszne*. *Babunia*, *czasem* i od pokuty wyprosi, i od kary uwolni; bo Mama i Tata, mało co mają do odmówienia Babuni. Ale Babunia, jakkolwiek jest dobrą, nie podejmuje się ni-

gdy, prosić za wnukiem krnąbrnym, złośliwym, albo kłamliwym; bo dobra Babunia jest przed wszystkiém sprawiedliwą, nie wstawia się więc nigdy za takiém dziecięciem, które przez ciągle złe sprawowanie, niegodném Jéj łaski się staje. Wszystkie więc dobre i grzeczne dzieci, po Matce, i Ojcu, kochają najtkliwiéj Babunię i Dziadunia, kiedy im Bóg dozwoli dożyć lat tyle, żeby wnuki swoje pielęgnować mogli. Taką właśnie Babunią, była Pani Uszycka, przyjemna i miła, lubo w podeszłym już wieku; majętna, wesoła, a do małéj swéj rodziny niewymownie przywiązana. Mieszkała na wsi ta dobra Babunia; miała tam dom obszerny, ogród rozmaitemi fruktami i kwiatami napełniony, w pokojach pełno było dla dzieci zabawek, maleńkich kanapek, krzesełek, i niskich stolików, na których dzieci różnemi zabawkami bawić się mogły; wózek zielono malo-

wany, dla najmłodszych dziatek, stał na ich rozkazy na dziedzińcu, obok konika, dobrze ujeżdżonego, dla najstarszego wnuka, lalki i różne do robienia im ubiorów kawałki, przygotowane były w ładnych koszyczkach, obok książek, tak przyjemną zabawę grzecznym dzieciom sprawujących, te leżały w ładnéj oprawie, na stolikach starszych panienek. Słowem, dom, ogród, i całe zamieszkanie Pani Uszyckiéj, zdawało się bydź jedynie dla przyjemności jéj wnuczków urządzone. Pani Uszycka, wydała była swoję jedyną córkę, Łucyą, za Pana Złotomskiego, który miał urząd w mieście; tam mieszkając, dom znaczny utrzymywał; niepodobną więc było rzeczą, ażeby jego żona i dzieci często się od niego oddalały; cztery razy widywały tylko te dzieci swoję dobrą Babunię, a to w każdą porę odnawiającego się roku. Wiosna sprowadzała do Krajomina Panią Złotomską

(jest to nazwisko majętności Pani Uszyckiéj) bo imieniny Babuni, przypadały na wiosnę; najstarsza wnuczka Zosia toż samo imie co Babunia nosiła, miała ona lat dziesięć, i przywoziła zawsze na wiązanie dla Babuni, jaką ładną, swoich własnych rąk robotę. Staś, najstarszy wnuk, rozmaite dowody zdatności i pracowitych usiłowań, przez pochlebne świadectwa *nauczycieli* szkolnych potwierdzone. Anielka i Karolcia, młodsze téj Pani wnuczki, dawały iéj chociaż podwiązek parę, swojéj roboty, otoczonych wieńcem fiołków, które same uzbiérały, a maleńki Hipolitek, w zielonym woziku, na pęku kwiatów posadzony, wyciągał swe rączki i głaskał Babunię po twarzy, nie mogąc dotąd *inaczéj* okazać jéj swego przywiązania.

W lecie, we żniwa, odwiedzała znowu Pani Złotomska Krajomin; biegały tam dzieci, po łanach, pracowitemi żniwia-

rzami okrytych, zbiérały i znosiły snopki, sadzały Hipolitka uwieńczonego szafirowym bławatkiem, lub czerwonym maczkiem na kopach złocistéj pszenicy, i rozdawały między robotników chłodzące napoje, a między ubogich, własne, przez siebie, na ten przedmiot uzbiérane grosze. Babunia, wszędzie była z niemi; rozpowiadała im, jak się zboże sieje, wzrasta, zbiera, jak nieprzeliczone korzyści z tych małych kłosków spływają na mieszkańców naszéj ziemi; jak obfitość rolnicza jest piérwszą obfitością na świecie! Jéj albowiem jedynie, winniśmy zachowanie od zupełnéj zagłady. Te zielone niwy, te nieprzejrzane okiem pola, wydając plon, lubo mniéj obfity, zdołały odwrócić od nas ostatnią plagę, to jest głód którego od wieków nie doświadczamy.

Jesień najpożądańszą zawsze bywała porą, dla małéj rodziny Złotomskich; Krajomin uwieńczony owocami różne-

go gatunku, okazywał im wtedy widok nader powabny, wspaniałe gruszkowe drzewa, słusznie królewnami nazwane, równające się wysokości leśnych sosen i dębów, naginały tam aż do ziemi gałęzie żółtym owocem okryte, czerwone jabłuszka, na niskich, karłowatych drzewkach, wabiły jasnym kolorem, i ułatwiały dzieciom sposobność zbierania ich, na zimowy zapas Babuni; słodka śliwka, brzoskwinia nadobna, i tak rzadko dojrzewające w naszéj strefie winogrona, stroiły ogród urozmaicając zarazem, codzienny dziecinny podwieczorek; nader więc miło było dzieciom w Krajominie w jesieni; one tam co rok oddawały ostatnie ogrodom i przechadzkom pożegnanie, a skoro wieczór był chłodny, obsiadłszy kominek, przy krześle Babuni, grały w gry rozmaite, czytały naprzemian, tak lube dzieciom ukształconym Rozrywki, powiadały bajeczki, których się staran-

nie, dla zabawy Babuni, przez czas poświęcony rekreacyi na pamięć uczyły; a za dobre, i z czuciem oddane wiersze, odbierały pocałowanie Babuni; albo co było wielkiém bardzo szczęściem, brała na kolana swoje, to dziécię, które przez cały dzień najgrzeczniejsze było, i tłómaczyła mu ryciny, z książek obficie w jéj szafach zgromadzonych.

Ale, spytacie mnie się dzieci kochane, czy także i w zimie wnuczki odwiedzały Babunię? czy nie bały się wiatru, śniegu i mrozu? Czy Pani Złotomska, miała sposobność oddalenia się z domu i w zimie? Nie, kochane dzieci! Babunia nie wymagała tego, znała to dobrze, że drobnym dziatkom, w zimie podróżować trudno; ale nie mogła jednak i w téj przykréj porze roku, obejść się bez widzenia drogich dla jéj serca istot. Babunia więc zawsze przybywała do miasta, na święta Bożego

Narodzenia, i tam, przez dwa lub trzy miesiące mieszkała u swojéj córki. Łatwo sobie wystawić możecie, ile się wtedy dobra Babunia przykładała do uprzyjemnienia życia ukochanych wnucząt! Kiedy Staś dowiedział się, o sprzedaży jakich książek dla jego wieku stósownych; kiedy Zosia odkryła jaką biedną rodzinę, któréjby dopomódz chciała; nie udawali się do Mamy, ani Taty, ale, mając na to zezwolenie od nich, zaraz biegli do dobréj Babuni! a ta nie omieszkała nigdy zasilać ich woreczek, zbyt mały na znaczniejsze wydatki. Kiedy było dużo gości u Mamy, Babuni stół prościejszy, ale zdrowszy, gromadził dziatki wesołe, a w dni takie, wolno było dzieciom, mówić, śmiać się, i żartować do woli, Babunia, wraz z niemi śmiała się i igrała wesoło. Tak upłynęło lat kilka; dzieci rosły i chowały się zdrowo: Zosia miała lat 13ście, Staś 12sty zaczął, Anielka i Karolcia

od 10ciu do 11stu liczyły, Hipolitek już także biegał o swojéj własnéj mocy. Przybyli wszyscy do Krajomina na wiosnę, w wigilią Stéj Zofii; gości było dużo, obiad wielki, po obiedzie bawiono się wesoło w ogrodzie, który był jeszcze bez owoców i rozlicznych kwiatów, ale, już upiększony, kiściami bzu, i czeremchy; wieczór tańczyli goście *po klawikorcie, jedli lody* i ciasta; ale, lubo dzieci udział miały w tych zabawach, dzień ten cały nie był tak przyjemny naszym małym przyjaciołom, jak bywały poprzedzające imieniny Babuni. Zosia tylko jedna jako solenizantka, siedziała z gośćmi u stołu; rodzeństwo zaś jéj, mały opodal obsiadło stoliczek, z Panią Zaufnicką, ich boną, *która* co chwila *przestrzegała, ażeby* Panienki głośno nie *mówiły*, nie śmiały się i gościom nie przeszkadzały; wieczór poszli zawczasu spać, bo Babunia i Mama, wciąż gośćmi zajęte, nie miały cza-

su z niemi się bawić; a im najmilszą była ta zabawa, którą one z niemi dzieliły! Nazajutrz więc, przyszły na śniadanie ze smutnemi nieco twarzyczkami, co Babunię mocną zadziwiło. Cóż wam to kochane dzieci? mówiła do nich troskliwie, czyście słabe? czy wczoraj co takiego uczyniliście, za co Mama, albo Zaufnisia, was połajała?.... Dla czegóż tak smutne oczki, spuszczone, usta bez uśmiechu u was postrzegam.

Na to Staś, lubo najśmielszy ze wszystkich, rzekł jednak niepewnym głosem; Babuniu! nudno nam było wczoraj; tyle gości, tak wiele słusznych osób; Mama, Tata i Babunia tylko niemi byli zajęci; o nas nikt nie pytał, my u stołu nic mówić nie mogli; my nie lubiemy takiéj Stéj Zofii! o nie, my wolemy, obiad bez galaret, i wieczór bez lodów, ale z Babunią, i z Mamą, w salonie, kiedy możemy wszystko powiedzieć, o wszystko się pytać, i biegać ile

nam się podoba. Nam zawsze potrzeba tego, ażeby się Babunia, Mama i Tata, nami zajmowali, my nie możem być szczęśliwi ani nawet w zabawie dać sobie rady, bez was drodzy rodzice! Nic Babunia nie odpowiedziała, na tę szczerą, a razem pochlebną mowę; ale gdy nadszedł wieczór, i już nikogo obcego w Krajominie nie było, zgromadziła około siebie dziatki, poprzednim dniem tyle zniechęcone, i ofiarowała im, nowy wcale przedmiot zabawy, obowiązując się na każde tegoroczne odwiedziny, przysposobić dla nich powieść, równie dla zabawy, jak i nauki im pożyteczną. Te cztery powieści, otrzymawszy od dobréj Babuni, dla wszystkich posłusznych i grzecznych wnucząt, ofiaruję wam dzieci kochane! Oby was równie jak Stasia, Zosię, Karolcię i Anielkę zabawić, i nauczyć mogły!

ANTOSIA

CZYLI

Wychowanka samey siebie (1).

Powieść pierwsza.

Czyli uważaliście kochane dziatki, tę młodą Panią, która siedziała obok Taty u stołu w dzień moich imienin; tak zaczęła mówić Babunia skoro się dzieci, każde jakąś lekką robotą zajęte, około krzesła jéy zebrały. O! i bardzo, odpowiedział żywo Staś. Tą Pani, ma coś tak miłego w *spojrzeniu, tak łagodne-*

---

(1) Treść tej powieści, jest prawdziwą, oprócz niektórych szczegółów, opis jej uprzyjemniających; wypadek ten zdarzył się w czasie kiedy go opisuję.

go w uśmiechu, że mnie tylko Mama moja ładniejszą od niéj być się wydaje.

A jak też ona ładnie ubrana była, przerwała mu Zosia, jeszcze żywiéj; jaki szal piękny, co za suknia gustowna, uważaliśmy dobrze tę Panią, zaręczam Babunię; ale i cóż daléj, czy to o niéj Babunia mówić będzie? słuchamy, słuchamy!

Zosiu! Ty zawsze sama tylko mówić chcesz, zawołała Anielka, i ja uważałam ładną Panią; i ja Babuniu, krzyknęła Karólcia; mało piła wina, ale co konfitury, to lubi podobno, bo aż dwie morele wzięła na swój talerz. A czy nie widziałaś, że je posłała staremu Panu Sędziemu, który chwalił je bardzo, a daleko od nich siedział, odrzekł Staś, nie, ta Pani nie jest łakomą, jak ty myślisz Karolciu! Ona jest równie dobrą jak ładną. Ona musi być doskonałą; bo mnie się bardzo podoba.

Uśmiechnęły się obydwie Matki, na to stanowcze Stasia wyrzeczenie. A ty Anielko, cóż w téj Pani uważałaś szczególnego? Ja Mamo, odparła Anielka, słodko się uśmiechając, najbardziéj ją pokochałam z tego, że tak grzecznie się bawiła z głuchą Panią Nosalską, która tak jest nudna, że z nią mało kto mówi; i zawsze sama jedna siedzi opodal towarzystwa, nasza ładna *Pani* przysiadła się do niéj, i dosyć długo i głośno mówiła z nią, o kwiatach, ogrodach, i o sposobach bielenia najlepiéj płótna; widziałam jak biedna Pani Nosalska, ucieszona była z jéj towarzystwa, jak się uśmiechała do niéj, widać było że z nią mówiła o tém, co ona najlepiéj lubi i rozumié.

Ja także słyszałam ich rozmowę, rzekła Zosia, i pomyślałam sobie, jakże ta Pani musiała miéć dobrą Mamę, łaskawą na siebie Babunię; jak starannie była wychowaną, kiedy się tak pięknie

sprawia, i tak się wszystkim podobać umie!

Otóż to ja właśnie, kochane dzieci, przypadki téj miléj osoby, dziś wam opowiedzieć postanowiłam, rzekła Pani Uszycka spokojnym tonem; osądzi cie same: czy jéj wychowanie było do zazdrości, i czy nie na większe jeszcze od was zasłuży pochwały, skoro początek *jéj życia znany* wam *będzie?*

Niebardzo daleko od Krajomina, leży wioska mała, wśród boru nad bystrą rzeką zbudowana, nazywa się Gradowice, w téj wsi mieszkał przed kilkunastu laty majętny szlachcic, nazywał się Gradecki! już od kilku wieków, jego naddziady orali, sieli, i zbierali plon w Gradowicach, niemając wyobrażenia o inném szczęściu, jak o tém, które do dobrego zbioru zboża i korzystnego jego spieniężenia przywiązane być może. Młody Gradecki, był pierwszy z téj rodziny, który został do szkół od-

dany. Nauczono go czytać i pisać, po acinie cokolwiek, przytem Panów szanować, braci szlachtę kochać, a chłopami jako upośledzonemi istotami pogardzać. Daléj nie rozciągały się wiadomości Pana Gradeckiego; ale że jego ojciec ożenił się dobrze, że był wziął za żonę powinowatą Pana Wojewody, oddano więc młodego Felixa na dwór tego krewnego, gdzie lubo pełnił służby rozmaite, zawsze jednak, za cóś więcéj, jak za służącego uważany bywał. Umarł stary Ojciec i Matka Felixa, a ten, uprzykrzywszy sobie serdecznie okazałość dworu Pana Wojewody, wrócił do swojéj wsi skwapliwie, ażeby tam samowładnym zostać panem ludzi, zwierząt, pól i lasów, które po śmierci rodziców niezaprzeczoną jego własnością się stały. Pan Gradecki był człowiek poczciwy, i rzetelny, nie krzywdził nikogo, nie niepokoił sąsiadów o granice, nie odmawiał im nawet usługi swojéj,

kiedy się ta niesprzeciwiala własnéj jego korzyści: ale przytém tak niewymownie skąpy, tak chciwy na powiększenie majątku, że sobie nie pozwalał żadnéj chwili odetchnienia ani spoczynku; nie przedsiebrał żadnéj czynności, któraby inny cel iak zbiéranie lub ochronę pieniędzy miéć mogła.

Pan Gradecki *nie trzymał Ekonoma, bo mu się zdawało* że sam nierównie łepiéj ludźmi zarządzi, i roboty ich dojrzy; nie miał pisarza, bo nie wierzył żeby ten mógł mu rzetełnie wymiar zboża zapisać, i żeby klucza od spiechrza z ręki nie wypuścił; niechciał trzymać gospodyni i wołał sam do spiżarni chodzić dziesięć razy na dzień, jak ją powierzyć rozsądnéj *kobiécie.* Służących do pokoju nie trzymał, bo dom jego, lubo już i tak dosyć szczupły, był do połowy zupełnie pusty i zamknięty; nie było go komu zamieszkać, ani w czystości utrzymać. Mieścił się sam, w

maleńkiéj komorze, obok kuchni; ażeby widzieć co chwila co czeladź robi, nie dosypiał w nocy, bo się bał żeby go nie okradziono; nie wyjeżdżał nigdzie, rzadko nawet bywał w kościele, bo nie miał komu w swoję niebytność domu powierzyć; słowem, Pan Gradecki pomimo znacznego majątku, licznych domowych porządków, i nieskażonego imienia, był jednak w położeniu godném politowania; a co gorsza, nikt go nie żałował, bo powszechnie znano, że sam sobie to położenie przysposabia, zbyteczną chciwością.

Ale Babuniu! my o ładnéj Pani, a nie o brzydkim skąpym szlachcicu słuchać przyszli, zawołały zniecierpliwione i troszkę popsute wnuczęta. Zwolna, zwolna, moje drogie dziewczynki, odrzekła Babunia, już niedługo o niéj mówić zacznę. Zosiu, podaj mi moją robotę, a bądźcie cierpliwe, bo inaczéj niewiem, czy dziś skończę!.... O to nic nie

szkodzi, droga Babuniu! zawołała Zosia, powiadaj długo o ładnéj Pani; ale co o tém nudziarzu, co tak brudny i skąpy, to już dosyć. Ależ on koniecznie, do mojéj powieści potrzebny! A to na co Babuniu? On nic do naszéj pani, nie należy; nic, nieprawdaż? Zobaczemy, odrzekła poważnie Babunia! Staś, dał znak młodszym ażeby się uciszyły, a Pani Uszycka, tak daléj mowiła: Takie więc życie prowadził przez lat dwadzieścia i kilka, mój sąsiad Pan Gradecki; dochodziły mnie częste, o jego osobliwém życiu, wieści: wyznaję, żeśmy obydwie z moją córką mało wiary dawały opowiadaniu naszych służących o tém co się w Gradowicach dzieje; aż nakoniec, przekonałyśmy się o ich rzeczywistości, przybyciem cygana który przyszedł do Krajomina z ogromnym niedźwiedziem; zadziwiona tém zjawiskiem kazałam go badać zkąd jest? i gdzie idzie? znając dobrze, że takowe

włóczęgi, nie miały wstępu wolnego do kraju wówczas kwitnącego w pokoju! Odpowiedział, że całą ich gromadę, pokryjomu sprowadził Pan Gradowic do tamtejszych lasów, i że oni, w obszernych jego borach zamieszkują swobodnie, opłacając się jednak Panu za to sowicie.

Nowy ten pomysł powiększania dochodów, przez Pana Gradeckiego wymyślony, rozśmieszył i zatrwożył mnie razem; szczęściem, że moi sąsiedzi mniéj byli obojętni na ten wynalazek; niebawnie władze miejscowe o pobycie tak niebezpiecznych istot w naszéj okolicy uwiadomione zostały; cygani i niedźwiedzie, znikły z Gradowskiéj puszczy, ale pamięć ich długo w tutejszéj okolicy pozostała! bo gąski i prosięta, nie miały większych nieprzyjaciół, a Panu Gradeckiemu, odebrali z procentem opłaconą daninę, zabrawszy wychodząc kilka sztuk srebrnych naczyń, po rodzi-

cach starannie, w pustym pokoju zachowanych, ale w którym powybijane szyby w oknach, łatwy dawały przystęp dla oka i ręki złodzieja. Takie więc życie wiódł Pan Gradecki, aż doszedł lat pięciudziesiąt; był on przystojny kiedyś, i miał nawet pewną szlachetność w rysach twarzy, ale praca tak ciągła, tak ciężka, pochyliła jego ciało, głowa jego zawczasu okryła się siwizną, a oczy niewczasem zmordowane, (bo nigdy nocy niedosypiał, wartując około domu) były już mocno osłabione i zgasłe. Pozwalał sobie jedynie odwiedzać kilka razy do roku Panią Chciwowską, majętną wdowę, sąsiadkę od folwarku, w którym on niemieszkał, i który był opodal od Gradowic; kiedy więc tam zjeżdzał, dla obrachowania podstarościego, lub karczmarza, szedł na obiad do Pani Chciwowskiéj, żeby nie kazać dla siebie gotować, powracał nawet do niéj i na kolacyą, a zasiadłszy,

przy misce kartofli ze słoniną, albo kaszy jaglanéj z mlékiem, rozmawiali o niepogodzie lub o suszy, o niepilności sług swoich, a nadewszystko o sposobach oszczędzenia się w wydatkach, aż nadto wielkich, na ich małą intratę! Pani Chciwowska uczyła sąsiada, jakie gatunki ziół albo ziarna można mięszać do kawy, ażeby najpodobniejszą do dobréj była: sąsiad zaś uczył Panią Chciwowską jak pokryjomu wybierać obrok ze żłobów, a spędziwszy tę kradzież na niedbałość fornali, jak nagradzać koniom ten ubytek, ordynarją tych ludzi; która im śmiało potrąconą być może, bo oni nas i tak aż nadto na ich małą pracę kosztują.

Było to zaiste, doskonale dobrane towarzystwo z Pana Gradeckiego i z Pani Chciwowskiéj. Nikt w okolicy nie wątpił, że się pobiorą, służący téj ostatniéj, już się zwolna oddalać zaczęli, bo się bali wejść pod władzę takiego Pana.

Pleban i sąsiedzi winszowali z przyciskiem odmiany stanu wdowie; ona sama, odpowiadała na to wesoło i z wiele znaczącym uśmiechem, ale inaczéj niebo rozrządziło losem mego starego sąsiada, i ten dziwnym sposobem rozstrzygniętym został. Pan Gradecki, szedł raz pieszo do siebie do swojéj sąsiadki, w samo południe wśród lata; *upał był* nieznośny; sad owocowy przegradzał go już tylko od domu, chciał skrócić sobie drogę, przeszedł przez płot i puściwszy się ścieszką w gęstwinę, zaszedł prosto do budy sadowego żyda, który ogród od Pani Chciwowskiéj arędował, znały go żydki równie jak i psy ich, spokojnie więc mógł był iść daléj; ale widok *niespodziany* zatrzymał go przy budzie.

Młoda osoba, w krótkiéj wyszarzanéj sukience, w obdartym kapeluszu, w dziurawych rękawiczkach; trzymała w ręku kilkanaście gruszek i głośną rozmo-

wą z żydówką zaprzątniętą była. Pan Gradecki sądził, że ona owoc kupować przyszła; a że mu się dosyć podobała, prosił sadowéj, ażeby się targowała o gruszki, i że on sam za 3 grosze takowych kupi, byleby tylko spuściła taniéj dla panienki.

Aj wej mir! krzyknęła żydówka, czy Jaśnie *Pan myśli że* Panna Kasia kupować przyszła? *Ale tam znowu*, Panna Kasia, przedaje swoje śniadanie, i dobrze się o nie targuje jak Pan widzisz! Tak jest, przedaję rzekła cierpko Panienka, cóż to komu szkodzi? Jakto! zawołał zdumiony Gradecki, Panna śniadania nie jadasz? może to na wstążeczkę, na kapelusik nowy, te piéniążki zbiérane obrócić zamyślasz? Na wstążki! odparła z pogardą Kasia; a broń mnie Boże! ja zbiéram, bo lubię pieniądze. Czy podobna, odparł stary Kawaler, ażebyś Pani w tym młodym wieku, miała tak rozsądny sposób myślenia.

Pan Gradecki idąc z Kasią przez ogród do domu, bukszpanem zasadzoną uliczką, dowiedział się od niéj, że była jedyną córką Pani Chciwowskiéj, że ją Matka na usilną jéj prośbę odebrała z pensyi gdzie rok jeden w pobliskiém miasteczku strawiła. Przecie Mama już zaniecha, tych niepotrzebnych zbytków (mówiła daléj), suknią którą musiałam nosić na pensyi złożyłam do *kuferka* i chyba do ślubu ją wyjmę; zastałam tu mój przeszłoroczny ubiór, w tym bardzo jeszcze parę lat chodzić mogę; Mama wyznaczyła mi dwie gruszki na śniadanie; ja mam dosyć jednéj na dwa dni, bo chleba, który pieką dla ludzi, sporo sobie biorę; zebrany zaś owoc oddaję na powrot sadowemu, który mi za to płaci, z małym dla siebie zyskiem; już 25 groszy zebrałam tym sposobem. Co to za radość będzie, gdy te grosze na złotówkę zmienię! Taki w téj chwili ogień wydawały oczy Kasi na to wspo-

3

mnienie, jak wydają teraz oczy jéj córki, na widok przez nią spełnionego dobrego uczynku. Pan Gradecki, z uwielbieniem spoglądał na tę małą, otyłą, czerwoną twarzyczkę, która się rozpływać zdawała, nad szczęściem uzbieranéj złotówki; a chcąc ją poznać dostatecznie, zapytał ciekawie: wieleż Pani lat liczysz? Ośmnaście Panie, odrzekła; jużbym w moim wieku powinna była i płótna dosyć przyporządzić i wieprzków co przychować, i masła z parę aftli sprzedać, a pieniądze za nie schować; ale cóż! od maleńkiego byłam w klasztorze, potém na pensyi, Mama uczyć się kazała; rok cały strawiłam na czytaniu, pisaniu, i proszę Pana, grać mi na klawikorcie kazali się uczyć; dla Boga! wieś prawie przedaćby trzeba, na kupienie klawikortu! niech mnie Bóg broni, od takiego marnotrawstwa. Ale Mama Pani, myśli ją pewnie wydać za mąż za jakiego młodego i grzecznego

kawalera. A broń mnie Boże! ja za młodego kawalera? a w cóżby się obrócił majątek, dobytek, słowem, wszystko to, co Pan tu widzisz. Bo ja to, ja, jestem dziedziczką tego wszystkiego. Mama osiędzie w mieście, jak mnie za mąż wyda; obiecała, że tylko 1000 złł. na swoje utrzymanie żądać będzie odemnie; i to dużo, ale *jak dużo, zkąd ja je wezmę; i jak pracować będę musiała na taką summę.* — *Może też* Mama i mniejszą się obejdzie, pomruczał sobie Pan Gradecki, i skończył rozmowę, bo właśnie wtedy wchodzili do domu gdzie z obiadem na nich czekała Matka tak czule o niéj rozmawiającéj córki. Niebawnie po tém poznaniu się Pana Gradeckiego, z Panną Katarzyną Chciwowską, nastąpiło ich wesele, i oni to są rodzicami téj ładnéj i dobréj Pani, która wam się tak podobała, moje drogie dzieci! — Czy podobna? zawołało całe grono słuchaczów Pani Uszyckiéj. Nie, nie,

kochana Babuniu! żartujesz z nas; to być nigdy nie może! tak mówili Staś i Zosia; a młodsze dziewczynki, uśmiechając się jedna do drugiéj i potrząsając główkami, okazywały, że dzielą starszych mniemanie. Tak jest istotnie, kochane dzieci! Pani, która tak nam wszystkim wczoraj okazała się przyjemną, jest Antosia, starsza córka Państwa Gradeckich. *Ale ja opowiadanie początku jéj życia na jutrzejszy dzień odkładam*; bo po wczorajszym wieczorze, Babunia wywczasować się potrzebuje! — Babuniu droga! o Antosi, powiadaj nam, o Antosi! tak prosiła Anielka Panią Uszycką, kiedy się nazajutrz wnuczęta około niéj zebrały; my cichuteńko siedzieć będziemy i słuchać dobréj Babuni. Zosiu, Stasiu! nieprawdaż? Jeżeli mi więc przerywać nie będziecie, dokończę dzisiaj mojéj powieści, rzekła Babunia, siadając poważnie z robotą.

Słuchajcie, dzieci moje, a osądzicie same, coby było z Antosią się stało, gdyby się była oglądała na starania i zajęcie się nią rodziców, albo tych osób które ją w dziecinnych latach otaczały.

Nie polepszyło się nic w Gradowicach, od czasu przybycia tam młodéj Pani. Zdawało się i owszem, że przez połączenie kobiecego nieporządku i skąpstwa, z męzką chciwością i nieładem, jeszcze się pogorszył *byt* tamecznych podwładnych i domowników. Skoro tylko Antosia chodzić umiała, używała ją Matka do tych samych posług, które odbywają wiejskie dziewczęta; pasła gęsi, wyganiała w pole trzodę, przewracała len w ogrodzie, spędzała kurczęta; słowem, wszystko to czyniła do czego w każdym folwarku, używają sierotki zwyczajnie w nim chowane. Jak się urodzili dwaj braciszkowie Antosi, obróciła ją Matka na ich piastunkę; a biedna dziewczynka, dźwigała od rana do no-

3*

cy dzieci, od których sama niewiele co starszą była. Nadtobyście się zasmuciły, gdybym wam opisać chciała, ile biedy użyła Antosia, w tym dziecinnym wieku, w którym wy, moje dziatki, tak jesteście swobodne i szczęśliwe! Dostała nieraz połajanie niesprawiedliwie, i karę, na którą nie zasłużyła; nie miała ani sukienek, ani trzewików, sypiała na ziemi, jadała grube potrawy, i chleb razowy, słowem Antosia do lat 10ciu była bardzo nieszczęśliwą. W tym to wieku, zdarzyła się w jej losie odmiana; a to, co dla innych dzieci największém nieszczęściem bywa, stało się dla niéj szczególnie pomyślnym wypadkiem. Pani Gradecka wkrótce po urodzeniu się najmłodszéj siostry Antosi umarła, bo w chorobie swojéj, żadnym sposobem po doktora posłać nie chciała; żałując oderwać koni od pracy gospodarskiéj; a więcéj podobno jeszcze kosztów na opłatę doktora; umarła więc młoda ta

ofiara chciwości i skąpstwa; zostawiwszy męża w podeszłym wieku, który nigdy się nie spodziewał ją przeżyć, i czworo drobnych dziatek, bez żadnego dozoru i opieki!... Antosia, była z nich najstarszą. Bóg jéj użyczył zdolności tyle, że sama rozeznawała, ile jéj nie dostawało wykształcenia, i tych wiadomości, które nawet jéj wiekowi właściwe bywają. Brat jéj młodszy, wywichnął był nogę przez niedozór, a dwa tygodnie będąc bez opatrzenia, został kaleką może na zawsze! i ten troskliwych potrzebował starań; Ojciec, zmartwiony śmiercią Matki, leżał chory w łóżku; żadnéj nie było w domu rozsądnéj osoby: dziewki dwie wiejskie, całą stanowiły domową usługę; Antosia nasza nauczyła się była czytać na staréj elemencie, którą w podarunku od Pani Chciwowskiéj dostała, umiała katechizm i pacierz, a w wieczór, czasami, czytywała modlitwy na książce

Matki. To było całe jéj umysłowe wykształcenie; ale Antosia miała roztropność, z niepospolitym naturalnym dowcipem połączoną. Widząc Ojca, na bolesném łóżku, a Matkę w grobie, nie traciła czasu na niewczesném opłakiwaniu swojéj niedoli; objęła rząd domu; doktora dla Ojca zgodziwszy, starannie jego przepisy względem pielęgnowania chorego wypełniała; powierzyła mu brata kulawego, który niebawnie, pod jego dozorem, wyzdrowiał prawie zupełnie!... Przyjęła do domu kobiétę w wieku, ale rostropną, która zajęła się spiżarnią i bielizną dzieci; wnet bracia i siostrzyczka Antosi, dostali białe koszulki i przyszli do łóżka Ojca piérwszy raz z umytemi twarzyczkami, i bez pierzy we włosach. Ojciec jéj ciągle jeszcze był chory, turbował się jednak mocno, że przyjęcie kobiéty drogo płatnéj, wielką mu sprawi szkodę, zaczął się dziwić, że dzieci jego ze zby-

tkiem ubiéra, i wyrzekał że nigdy na te wydatki jego majątek nie wystarczy. Antosia odmieniła więc swój sposób wychodzenia z Ojcem, już nie tak często łóżko jego prześcielać kazała, dzieci w starej odzieży do niego przyprowadzała; doktór nie zawsze Ojca widywał, kiedy przyjeżdżał; ale ona mu zdawała sprawę o postępach choroby, bo go nieustannie pilnowała; a tak niewinnym podstępem, połączyła dogodzenie Ojcu w jego słabości, z rządem i przyzwoitością, które, ilę miała do tego zdolności, w dom Ojca wprowadzić postanowiła. Ojciec zaczął do siebie przychodzić; doktór odwiózł mu młodszego syna dobrze wyleczonego jego staraniem; Antosia, niezmiernie była z siebie zadowolnioną; a przekonanie o tém, że dobrze czyni, dodawało jéj mocy w wykonaniu ułożonego w swojéj 10cio-letniéj główce planu postępowania na przyszłość.

Skoro Ojciec zupełnie do siebie przyszedł, najprzód go prosiła ażeby jéj pozwolił jechać do kościoła na nabożeństwo, dla podziękowania Bogu, za jego wyzdrowienie. Pojechała więc bryczką z bratem starszym, i jedną ze służących; było to święto i dosyć już przed kościołem stało powozów; ale jeszcze było zawczasu; Antosia nie nosiła nawet po Matce *żałoby (bo któżby jéj ją był sprawił) okryła tylko* swoję białą sukienkę, dużą czarną chustką, pozostałą po Matce, a niewidząc jeszcze nikogo w kościele, poszła do xiędza proboszcza, chcąc go prosić, ażeby Ojca w słabości odwiedził. Zastała w plebanii dużo zebranych gości, którzy na zaczęcie nabożeństwa oczekiwali; grono ładnie poubieranych dzieci, które biegały po ogrodzie plebana i rozmawiały, to po polsku, to po francuzku, igrając wesoło z ułaskawioną wiewiórką zajęło najprzód uwagę wchodzącéj do pokoju

Antosi. Spełniwszy zlecenie Ojca do swego pasterza, prosiła o pozwolenie wejścia do ogrodu z bratem.

Krótka sukienka, obdarte trzewiki, i wielka chustka, która Antosię okrywała; brata zaś, cała opuszczona i niezgrabna postać, a do tego, nieśmiały krok ich, w zbliżaniu się, dały dzieciom tam zebranym powód do sądzenia, że te dzieci, co wchodząc, stanęły z dalcka, *byli młodzi żebracy!...* Zgromadziły się zaraz do swoich ochmistrzyń, i prosiły o pozwolenie, zrobienia na te biedne sieroty małéj składki! Dziesiątaczki i grosze, obficie spłynęły w woreczek, najstarszéj między niemi panienki, która, zadowolniona tym zbiorem, pobiegła ofiarować go biednym dzieciom, które zapewne, jak mówiła, *przybliżyć* się wstydziły. Jakież było naszéj Antosi upokorzenie! kiedy rówienniczka w wieku, a zapewne i w urodzeniu, sąsiadka, mniéj może od niéj majątku po-

siadająca, w ładnym tiulowym czepeczku, w sukience wygarnirowanéj, i w pstro malowanym fartuszku, przyskoczyła, do niéj z uśmiechem, i grzecznie jéj zebraną jałmużnę podała. Weź to kochanko, rzekła: to jest mała składka, od nas samych; ale, jak Mama do ogrodu przyidzie, to pewnie wam da więcéj. Cóś niewypowiedzianie przykrego uczuła Antosia, *spostrzegając za kogo ją biorą, gorzkie łzy upokorzenia spłynęły na jéj lica*, odsunęła woreczek w milczeniu i chciała się oddalić.... Ale brat jéj, surowy i nieznający grzeczności chłopiec, grubijańskim sposobem odepchnął podającą jałmużnę panienkę, i krzyknął ze złością: albo my to dziady, że nam jałmużnę dajecie? my jesteśmy z Gradowic *młodzi* Panicze! *może* więcéj mamy w domu *pieniędzy*, słyszycie, jak wy wszyscy warci ; idźże sobie *ty* jakaś, bo cię nauczę. Gorzéj się jeszcze Antosia obejściem brata zawstydziła, a

ledwie zdołała przeprosić panienkę, gdy dano znać, że czas na nabożeństwo; Antosia wzięła brata za rękę, wprowadziła go do kościoła, uklękła na boku przed ołtarzem Stego Antoniego swego patrona i gorąco się modlić zaczęła ażeby jéj Bóg użyczył sposobu, którymby uzyskać mogła, stosowne stanowi swemu wychowanie. Wysłuchał Bóg modlitwę młodéj sieroty, bo On, prędzéj czy późniéj, zawsze wysłucha tych, co go szczérze, i w sprawiedliwéj błagają sprawie.

Ksiądz Proboszcz, odwiedził nazajutrz Pana Gradeckiego, potwierdził opowiadanie Antosi, o upokarzającém ją zdarzeniu. Obudziła się cokolwiek w nim duma swych przodków, i bardzo się rozgniewał na te dzieci, które jego potomstwo za żebrakow wzięły. Dla czegóż to proszę uniżenie, mój Mości księże proboszczu, rzekł żywo mimo jeszcze słabego zdrowia; wszakci, moje

dzieci tak wyglądają jak i inne; wszak my mamy klejnot szlachecki, jeszcze od Króla Łokietka; wszakci Gradeccy, od lat trzechset kilkadziesiąt, w téj ziemi osiedli, w niéj ciągle piastowali urzędy; mam z łaski Pana Boga, pięć folwarków w polach, dwa piękne z borem, długu ani szeląga; jakże mogły te tam jakieś modne panięta, wziąść moje dzieci za żebraków? Nie przeczę ja, kochany Panie, żadnemu z wymienionych przez ciebie zaszczytów, odparł poważnie szanowny pleban; ale właśnie dla tego, żeś Pan i zacnego rodu, i dziedzic tylu włości, wypadałoby pomyśleć o staranniejszém wychowaniu swych dzieci, a nawet o stosowniejszej ich majątkowi odzieży, ażeby się śmiało mieścić mogły pomiędzy równemi sobie. Trżeba Pannę Antoninę oddać do Madame w Warszawie, Pana Juliusza do szkół w wojewódzkiém mieście, a młodsze, pod dozorem poczci-

wéj Małgorzaty, przysposabiać do dalszych nauk. A dla Boga! Mości księże, co mi téż radzisz! czy podobna, żebym ja Antosię z domu oddalił; a któżby z kluczami chodził, kto wydawał czeladzi; kto doglądał krów i przędzenia; na to żeby po modnemu chodziła i po francuzku mówiła, ja miałbym płacić za nią? Nie, to być żadnym sposobem nie może. Gniewał się Pan Gradecki, rzucał, łaiał długo, aż przecię łzy Antosi, i zdrowe rozumowania plebana, przemogły upór jego. Nasza mała bohaterka odwiozła najprzód sama do szkół brata swego, zgodziła dla niego stół i stancyą, zapłaciła za całe pół roku, a sprawiwszy sobie niezbędną odzież żałobną, powróciła do domu, gdzie, pod kierunkiem Małgorzaty, oporządziła się jak mogła, i wsiadłszy na bryczkę, pojechała ze starym uproszonym o jéj odwiezienie sąsiadem oddać się sama na pensyą w Warszawie. Niemałe było podziwie-

nie osób, składających szkolę uczennic Pani B.... jednéj z najsławniejszych w Warszawie, kiedy przed jéj bramą stanęła niepozorna bryczka, z któréj wysiadł stary osiwiały szlachcic, z 10cioletnią Panienką, ubogo, ale przyzwoicie ubraną; ta lubo nie umiała ani się zgrabnie ukłonić, ani wytwornie tłómaczyć, oświadczyła jednak wyraźnie i z przyzwoitém uszanowaniem, że będąc pozbawioną starań Matki, pragnie być przyjętą do instytutu Pani B.... obiecując być jéj posłuszną i szanować ją jak własną Matkę. Towarzysz jéj złożył dowody urzędowe, jako ta panienka istotnie była córką dziedzica Gradowic i innych włości; wyjęła przytém Antosia z małéj szkatułki woreczek, dosyć dobrze złotem napełniony; i zapytawszy się, wiele z góry za pół roku za jéj wychowanie wyliczyć należy, prosiła Panią B.... ażeby zaraz żądaną kwotę od od niéj odebrać raczyła. Ułatwiwszy

ten tak dla niej ważny interes, pomówiła tajemnie z towarzyszem swéj podróży, zdawało się, że mu czule dziękuje, za jego około niéj poniesione trudy, a lubo nieznacznie wsunęła w jego rękę cokolwiek tego złota co w woreczku miała; nie uszła jednak jéj hojność bacznego oka Pani B...... która ztąd pochlebne powzięła mniemanie o dobroci serca swéj nowéj uczennicy. Odmienny sposób życia i codziennych zatrudnień Antosi, czynił jéj początkowy pobyt na pensyi nader trudnym: musiała zacząć uczyć się tego, co siedmioletnie uczennice już niezgorzéj umiały. Pisać nawet biédna dziewczyna nie umiała jeszcze; starała się więc, nieustannie pracując, zastąpić brak zupełny pierwotnego wychowania; dopomagały jéj do tego, nietylko nauczycielki, ale nawet starsze współ-uczennice, bo Antosia przez swoją słodycz i dobroć serca, prędko ich przyjaźń uzyskała; a tak by-

ła przekonaną o potrzebie prędkiego nabycia tego, co do jej wykształcenia brakowało, że nawet od służących napomnienia przyjmowała z wdzięcznością, kiedy jéj rozsądek słuszność onych okazywał. Pani B.... coraz więcéj ją lubiła: rzadka jéj pracowitość dziwnie czasem odbijała, z lenistwem i roztrzepaniem innych panienek u niéj będących. Podczas rekreacyi Antosia robiła braciom swoim szkarpetki, albo szyła koszulki dla małéj siostry, ucząc się pilnie przy téj robocie zadanéj lekcyi. Trudniéj nad wszystko przyszło jéj ułożenie swe zmienić; a pomimo długo branych lekcyi tańca, nie mogła jeszcze nabrać téj zgrabnéj lekkości, która się od lat dziecinnych nabywa, kiedy jeszcze skład ciała przez ciężkie prace nie jest przeistoczony; ale i te przeszkody zwalczyła Antosia; po upłynieniu lat dwóch, tak była odmieniona, tyle nabrała wdzięków powierzchownych i przymiotów

serca i duszy, że sama Pani B.... winszowała sobie uwieńczonego skutku swych starań. Miewała Antosia dosyć częste z domu wiadomości, Ojciec do niéj pisywał, ile razy kto z jego stron zjechał do Warszawy. Zdrowie jego zawsze było chwiejące; nie posyłał jéj nigdy pieniędzy, i dziwił się czasem, że ją tak długo Madame na pensyi bez zapłaty trzyma; ale tém lepiéj myślał sobie, tu jéj nie karmię, ani odziewam; a jak się Madame uprzykrzy, to ją odeszle. Nasza Antosia wiedziała dobrze, wyjeżdżając z domu, że się niczego od Ojca spodziewać nie może. Dozwolił jéj Ojciec, aby wzięła z jego szkatułki, do któréj klucze podczas jego choroby miała, tyle ile na jéj potrzeby wystarczyć mogło przez czas niejaki; ale po dwuletnim pobycie na pensyi, mało bardzo już pozostało w owym woreczku. Nadchodził też właśnie czas szkólnego examinu, i po nim nastąpić mających

wakacyi. Osoby rządowe, Mamy i opiekunki panienek w instytucie będących i licznie zebrani goście zajęli miejsca w dużéj sali; popisywały się panienki z rozmaitemi, tak naukowemi jako i przyjemnemi wiadomościami; z zadowolnieniem wszystkich tych którzy tam mieli córki albo krewne swoje. Wiełoliczne nagrody miały być rozdane, Matki albo Opiekunki tych uczennic które na nie zasłużyły, oddawały im te oznaki zaszczytne; a łzy radości skrapiały nieraz książkę, albo ładny koszyczek drżącą ręką Matki podany. Nagroda słodyczy charakteru i pilności w nauce pozostała do oddania. Nasza Antosia, skromnie ale powabnie ubrana, w białéj sukni różową wstążką przepasana, z takąż przepaską w ciemnych włosach, gładko na czole przedzielonych, wychodzi z pośród towarzyszek swoich, ale naprożno szuka téj ręki, któraby jéj nagrodę oddać miała! napró-

żno przystępuje do krzeseł, gdzie damy siedziały; nikt nie sięga na stół dla podania jéj pięknéj safianowéj teki, rozmaitemi pismiennemi potrzebami napełnionéj, która nagrodę pilności stanowić miała. Oczy Antosi napełniły się łzami!... O Boże! zawołała, ja tak się starałam szczerze aby na nią zasłużyć; a tu niema nikogo z czyich rąkbym ją przyjąć sobie życzyła! ja niechcę téj nagrody; cóż mi po niéj, kiedy nie mam ani Matki ani Opiekunki, któraby się wspólnie ze mną memi postępami cieszyła. Całe zgromadzenie zajęło się mocno szczególnym tym wypadkiem. Urzędnik, który z obowiązku przewodniczył temu examinowi, powstał i sam chciał wręczyć Antosi nagrodę, przemówiwszy wprzódy w wyrazach do jéj położenia stosownych; ale młoda osoba, mało co od Antosi starsza, uprzedziła go powstając żywo. Za pozwoleniem mojéj Mamy i WPana Dobrodzieja, rzekła,

niechaj mi dozwoloném będzie oddać Antosi tę nagrodę; z mojéj ją zapewne mile przyjmie ręki, nie prawdaż, kochana Antosiu? przypomnij sobie, proszę, spotkanie nasze przed dwoma laty w plebanii; milszym ci pewnie będzie ten dar z mojéj ręki dziś odebrany, jak ów który pomyłka dobrego serca wtedy ci ofiarowała. Antosia rzuciła się na szyję młodéj osoby i rzekła z uczuciem: *przyjmuję z rąk twoich nagrodę z wdzięcznością. Ty! coś mnie widziała jaką byłam wtedy, a czém jestem teraz, najlepiéj osądzić potrafisz moje wysilenia;dziękuję ci tysiącznie droga przyjaciółko!* Pani B.... wytłómaczyła zgromadzeniu przyczyny tego zdarzenia. Antosia stała się przedmiotem zajęcia; wszyscy chwalili ją, przedstawiono za przykład do naśladowania, będącym w równym wieku panienkom, a wnet uzyskała tyle przychylnych sobie między zebranemi gośćmi, ile było dobrych

Matek w tém zgromadzeniu. Dzień ten nader przyjemne zostawił Antosi wspomnienie; postęp jéj w naukach był znaczny, zręczność w robotach rzadka na jéj wiek, muzyka nawet i taniec już szły niezgorzéj. Ale woreczek uszczuplał się codziennie!... Ojciec nic od niejakiego czasu nie pisał; a o nadesłaniu pieniędzy od niego, ani myśleć nie mogła. Nadeszły *wakacye*; postanowiła jechać do niego, ale z kim?.... Wiedziała, że jéj Pani B..... saméj jechać nie pozwoli, a wstydziła się nawet służącéj z instytutu brać z sobą, ażeby jéj nie pokazać nieporządku i skąpstwa w domu Ojca panującego. Przypomniała sobie wtedy, że młoda Helena Rolińska, taż sama, która jéj nagrodę oddała, miała wyjechać z Matką na wieś, w sąsiedztwie Gradowic; napisała do Pani Rolińskiéj za pozwoleniem Pani B..... ażeby ją z sobą wzięła; i wkrótce z tą przyjemną rodziną puściła się w drogę. Ale bié-

dna Antosia! nie przeczuwała wcale, podczas wesoło odbytéj podróży, jak smutny ją w Gradowicach czekał do spełnienia obowiązek.... Zastała Ojca przy schyłku życia; i zaledwie dni kilka pozostało jéj do oddania mu należnych starań... Skonał staruszek, błogosławiąc swe dzieci, ale jeszcze na godzinę przed śmiercią zamknął starannie szkatułkę z pieniędzmi i nie chciał dozwolić, aby mu *zbyt* drogie w jego mniemaniu lekarstwo z miasta przywieziono. Od śmierci Ojca Antosi, *jéj położenie* stało się zupełnie innym dzieciom *w opiece* zostającym podobne. Krewni i powinowaci Państwa Gradeckich złożyli radę familijną, jak w takich przypadkach bywa, wzięli opiekę równie nad dziećmi, jak nad ich majątkiem; nasza Antosia wróciła do Pani B.... gdzie jeszcze lat 4 pozostała. Ukończywszy nauki z zupełném opiekunów zadowolnieniem,

powierzoną mi została do czasu, póki sobie nie obrała za męża brata tej Helenki Rolińskiej, z którą dotąd czuła ją przyjaźń łączy. Pani Rolińska jest równie dobrą Matką jak żoną i przyjaciółką wzorową; pełni wszystkie obowiązki swoje, równie dokładnie jak przyzwoicie; a co jéj najwięcéj chluby przynosi jest to, *że sobie saméj wykształcenie swoje przypisać powinna.* Tak Babunia kończy swoję piérwszą powieść; z téj poznacie, drogie dzieci! że rozsądek i przytomność umysłu, czasem zastąpić mogą niedoświadczenie dziecinnego wieku; że zawczasu wam się przyzwyczajać należy do obejścia się bez codziennyrh starań, które przez nieszczęśliwe życia *wypadki*, łatwo wam odjęte być mogą.—Niepięknie Babunia zakończyła tak ładną powieść; my zawsze Babunię, Mamę i Tatę mieć będziemy, my nie chcemy inaczéj my-

śleć, bobyśmy płakać musieli, a ja wiem, że Mama nie lubi kiedy dzieci płaczą tak mówili mali słuchacze powieści. Uściskała Pani Uszycka i córka jéj swe lube dzieci w milczeniu; bo cóż można na to odpowiedzieć tym szczęśliwym istotom, które jeszcze nie rozumieją co to jest rozłączenie na zawsze, z drogiemi nam osobami przez śmierć lub oddalenie sprawione.

OLES I MARYNIA

Powieść druga Babuni.

Czy też Babunia pamiętać będzie o tém, co nam obiecała jakeśmy byli ostatnią razą w Krajominie, rzekł Staś do Zosi, skoro przy końcu lipca ślicznego letniego poranku, wsiedli wszyscy do kocza, ażeby zwyczajną, a tak miłą lubym dzieciom odbyć pielgrzymkę. A jakże zawołała Karolcia czy nie pamięasz, że prosiła Mamy, *ażeby* dla niéj przywiozła dużo włóczek i bawełny do robót. — No, i cóż to ma do tego Karolciu? odezwała się Anielka. — Czy nie domyślasz się? że Babunia długą i pię-

kną nam powie historyą, bo niechcąc próżnować podczas opowiadania, potrzebuje dużo bawełny i włóczki, do zwijania i robienia z nich różnych dla nas rzeczy. Jakto Karolcia zgadła, nieprawdaż Mamo droga? — Pani Złotomska, tak teraz, jak i zawsze, kiedy do Krajomina jechała, znajdowała się w przyjemném usposobieniu umysłu, wesołe sprzeczki lubych dziatek, niewinne ich spostrzeżenia, domniemania niespodziane, urozmaicały nader miło téj dobréj Matce, krótką podróż do tak drogiéj sercu jéj osoby; sprzeciwiła się żartem twierdzeniu Karolci, mówiąc że nie wie wcale o żadnéj nowéj powieści; Babunia była słabą cokolwiek; jeździła przytém do dawnéj swéj przyjaciółki; miała różne domowe zatrudnienia; a zatém może Babunia nie przypomniała sobie nic do opowiadania wnuczkom swoim.—To być nie może; nie, to

żadnym sposobem być nie może: rzekł Staś poważnie. Babunia uczy nas zawsze, że nigdy tego nie trzeba obiecywać, czegobyśmy dotrzymać nie mogli; Babunia obiecała powieść na piérwszą naszą bytność i dotrzyma swéj obietnicy; za to ja ręczę.—I ja także, rzekła Karolcia, bo Babunia nie chciałaby nas zasmucić kiedy my jéj tak dobre od naszych nauczycieli, wieziemy świadectwa. O nie, nie. Załóżmy się Stasiu, że nie będzie powieści, zawołała Zosia z uśmiechem do brata; ja i Anielka mówiemy że nie będzie powieści; Staś i ty Karolciu mówicie że będzie. — A o co się założemy?... O koszyk malin z Babuni ogrodu. Ci co zakład przegrają, będą zbiérać maliny dla tych, co go wygrają; ale ani jednéj nie skosztują. — Dobrze, dobrze, zawołały dzieci. Pani Złotomska zezwoliła na to; a przy końcu podróży cała się sprawa wytoczyła

przed Babunię, która zakład roztrzygnąć miała. Jak minęły piérwsze przywitania, opowiadania, udzielenia wiadomości różnych z miasta, tak przez Panią Złotomską, jako i jéj dzieci, przypomniały sobie wnuczęta zakład w podróży zrobiony, i prosiły dobréj Babuni o roztrzygnienie ważnéj téj sprawy. Nie pomylił się Staś ani Karolcia w dobrém mniemaniu o mojéj rzetelności, rzekła ona z uśmiechem; lubo dziś mieliśmy upał nieznośny, ale już świeżość wieczorna powietrza wabi na przechadzkę; jutro więc podczas skwarnego południa, kiedy wszyscy w cieniu szukać będą ochłody, udzielę wam obraz wypadków dwóch nader zajmujących istot. Niezapominając jednak o przedmiocie zakładu, duży koszyk malin, znalazł się nazajutrz pośród stołu, który dzieci wesoło obsiadły; te co zakład wygrały, udzieliły je tym co przegrały, bo czy

podobna, nieużyczyć innym tego co nam przyjemność sprawia..... Ale przyjemniejszą jeszcze dla nich, była powieść Babuni, która usiadłszy w wygodném krześle, z nowo zaczętą robotą, tak mówić zaczęła.

Państwo Słowieccy, od swego pobrania się mieszkali w Warszawie, on sam piastował tam urząd znąkomity; trzymali dom okazały, dawali częste obiady, świetne wieczory; słowem, żyli tak jak żyją zazwyczaj w stolecznych miastach urzędnicy pierwszego rzędu. Mieli oni dwoje dzieci, syna Olesia który już lat 13 kończył i córkę Marynię, rokiem młodszą od brata. Te dzieci były na pozór najszczęśliwsze istoty w świecie, bo nikt niesprzeciwiał się nigdy ich woli; wszyscy ci którzy uczęszczali do domu Państwa Słowieckich, przesadzali się w uwielbianiu tak powierzchownych jako i umysłowych przymiotów ich dzieci. Co za ładne pod-

wieczorki bywały u przyjaciół domu rodziców Olesia i Maryni w dnie imienin lub urodzin ich dzieci! jakie odbierały ładne wiązania, co za niespodziane zabawy dla nich wymyślano, jak je chwalili domownicy, jak im nadskakiwali służący, słowem wszystko to nader im było przyjemne. Ale, jak będziecie starsze, drogie dzieci, to poznacie dostatecznie, co to jest za nieszczęście, służyć za cel pochlebstwu, i za sposób przypodobania się tym, których z potrzeby ujmować sobie usiłują podwładni; tak więc te pochwały, te uprzedzenia główki im poprzewracały, że ani Oleś ani jego siostra nie czuli żadnéj potrzeby przykładania się szczérze do nauk, kiedy widzieli, że najmniejsze ich staranie za nadzwyczajne w wykształceniu uważano postępy. Pan Słowiecki trzymał do Olesia nauczyciela, który mu towarzyszył do szkół, i z nim w domu powtarzał dawane tam nauki; ale zatru-

dnienia publiczne Ojca, nie dozwalały mu często wglądać w naukowe prace syna... Pani Słowiecka, lubo bardzo była dobrą i Matką i Żoną, tak jednak wiele zajmowała się towarzystwem, strojami i zabawami wielkiego świata, że jéj rzadko, a to w rannych tylko godzinach, pozostawało cokolwiek czasu, do zwiedzenia pokoju córki, gdzie Marynia, pod dozorem młodéj szwajcarki, rozmaite od odwiedzających ją godzinami nauczycieli, odbiérała nauki; Oleś był tak roztrzepany, że o niczém jak o figlach myślał, a wracając do domu ze szkoły, jedynie tylko wieczorną zabawą, teatrem (gdzie ich Matka często z sobą brała) balikiem albo spacerem miał głowę zajętą, mało więc bardzo w niéj pozostało miejsca, do tego co słyszał w klassie, a mniéj jeszcze do rozsądnych napomnień nauczyciela, którego wszelkie usiłowania, spełzły zawsze przed głosem pochlebstwa służących i

domowych przyjaciół.... Marynia zaś była niewypowiedzianie leniwą, niczego jéj się uczyć nie chciało, oprócz tańca; bo tyle odbiérała pochwał, kiedy gawote tańczyła, tak uwielbiano jéj ładną nóżkę, jéj zgrabną figurę, że za piérwszym pociągiem smyczka na skrzypcach swego tancmistrza lenistwo jéj ustępowało zupełnie chęci podobania się, która już bardzo silnie opanowała była jéj młode serce.

W czasie kiedy wam ich opowiadam historyą, miały te dzieci (jak mówiłam) od lat 12 do 13, najlepszy czas do nauk i pracy, bo w tym wieku, u dziewcząt uzupełnia się wychowanie, u chłopczyków zaś jest to pora do powzięcia wyższych wiadomości; słowem, tak u jednych jak i u drugich, czas niepowetowany, kiedy go się na fraszkach marnuje, a nieodżałowany w późniejszym wieku, kiedy się z niego nie korzysta. Mama Olesia i Maryni miała bardzo ma-

jętną i dobrą ciotkę, która osiadła była za granicą; ale, że dosyć lubiła Panią Słowiecką, a przytém miała niektóre czynności do ułatwienia w Warszawie, oznajmiła jéj rychły tam swój przyjazd, i prosiła Pani Słowieckiéj, ażeby stosowne dla niéj chciała wynająć mieszkanie. Pan Słowiecki, chętnie się przychylił do *życzenia swéj żony; ażeby tak pożądanego i dawno oczekiwanego gościa*, umieścić w swojém mieszkaniu; a Pani Hrabina, przybywszy niebawnie, zajęła kilka pokoi w domu rodziców naszych małych przyjaciół. Była to osoba bardzo roztropna i światła, sama w swojéj młodości wiele się oddawała wychowaniu dzieci; bo i własne dziatki bardzo dobrze ukształciła, i nawet przez czas niejaki, sprawowała z chlubą, urząd ochmistrzyni młodych księżniczek, przy jednym dworze niemieckim; Oleś i Marynia, cieszyli się bardzo, na przyjazd téj cioci, bo im się

zdawało, że i ona, tak jak wszystkie otaczające je osoby, przesadzać się będzie w pochwałach i usilném ubieganiu się o ich łaskę. Ale, wszystko to inszy obrót wzięło. Pani Hrabina uściskała czule dzieci swojéj siostrzenicy, i przywiozła im z zagranicy ładne gościńce; były to nowe dzieła jeszcze u nas nieznane, do wyższych nauk służące dla Olesia; i wzory do haftu, farby do malowania, jedwabie, pelle i t. p. dla Maryni; a dla obojga, teki z kopersztychami celniejszych obrazów, i śliczny zbiór malowanych kwiatów z natury; te tak użyteczne i wytwornie dobrane dary, dosyć ozięble przyjęte zostały. Czy się bardzo cieszysz Maryniu, z gościńca odebranego od cioci? zapytał Oleś siostrę, rozrzucając niedbale kopersztychy na stole. O! co nie, to nie, braciszku! zawołała ziewając Marysia; ja się spodziewałam sukienki na model Paryzki, szarfy pięknéj ta-

kiéj jak widziałam u Hrabianki Jadwigi na balu, albo ładnego woreczka do noszenia chustki. A ja, odrzekł Oleś, pięknego konia, do tych nowych sanek, co mi darował niedawno Pan Assesor, albo gry jakiéj nowo-wynalezionéj za granicą; aż tu ciotunia, dała nam obrazki; jakby małym dzieciom, co się na nich uczyć mają, a mnie książek! kiedy *ja sam niewiem co mam robić z temi ktore moję szafkę napełniają.* Nie, Marynko, mnie się nie podoba ciotunia; a tobie? I mnie nie bardzo, ale Mama daje na jéj przybycie balik dziecinny, może jak moją gawotę zobaczy i pochwali, na większą sobie łaskę u mnie zasłuży; zobaczemy, a tym czasem idę na lekcyą tańca, bo już przygrywa wesoło gawota, *Pan Rigodon. Dary* ciotki zostawiwszy porozrzucane na stole, pobiegli oboje do tańcmistrza który zajmował zawsze ich całą uwagę, kiedy inni nauczyciele na niedbałość ich bez

ustanku narzekali. Balik się udał dobrze, Marynią najświeżéj ubrana, najładniéj tańcująca, najwięcéj uwielbiana, nieposiadała się z radości; wykonała trudne skoki w gawocie, z niepospolitą lekkością i wdziękiem; Staś ślicznie tańczył kozaka, a że po większéj części sala napełniona była potrzebującymi łaski albo opieki Pana Słowieckiego, oklaski i pochwały zgromadzenia trudne były do opisania. Zagraniczna ciotunia pochwaliła dzieciom ich zwinność i umiejętność w tańcu; ale bez żadnéj przysady i jakby rzecz obojętną i niewartą długiego zastanowienia się. Ona jedna nie przyskoczyła do Pani Słowieckiéj z uniesieniem swe zadowolnienie objawiając; ona jedna nie dziękowała Maryni, *tak jak to* czyniła prawie każda Pani na balu będąca z zachwyceniem; ona jedna pochwalila drugą panienkę która z Marynią tańcowała, a widząc ją opuszczoną i smutną, *po* osta-

tnim ukłonie w pośród sali stojącą, wzięła za rękę i z wyrazem swego zadowolnienia do Matki jéj zaprowadziła. — Dobrze twoje dzieci tańcują, kochana Amelio! rzekła na pół po cichu do Pani Słowieckiéj, ale na cóż im tak dobitnie wasi oznajmują przyjaciele, że im się ich taniec podoba; wszak to tak mała na przyszłość różnica, między lepiéj lub gorzéj tańcującą kobiétą, a tak wielka, między gorzéj albo lepiéj wychowaną zachodzi, że.... O kochana ciociu, przerwała Pani Słowiecka, zostawmy proszę te spostrzeżenia na jutro; moja Marynia może nas wysłuchać, boję się żebyśmy jéj humoru nie zepsuli; ma zaraz tańczyć contredansa, a mnie wiele na tém zależy, żeby dobrze tańczyła, bo młody xiąże L.... stanął na przeciwko niéj z małą Wojewodzianką.... Nie odpowiedziała na to Hrabina. Całe swoje życie na wielkim świecie strawiwszy, nadto dobrze znała je-

go, błędy, ażeby ich nie umiała pokryć pobłażającém milczeniem! I tak rozmowa tych Pań przerwaną została. Niewznowiła jéj ciocia do końca tego wieczoru, i zdawała się jedynie przyjemnością jego zajęta. — Ale, nazajutrz około dwunastéj godziny, kiedy się już i dzieci i rodzice i domownicy wywczasowali; kazała Hrabina prosić obojga dzieci do siebie. — Olesiu! rzekła do siostrzeńca, mam pilny list do pisania w interesie ważnym, a cierpię cokolwiek na oczy, po wczorajszym spóźnionym wieczorze; powiem ci treść mojego listu, będę cię prosić żebyś go napisał za mnie. — A ty droga Maryniu! wyręcz mnie proszę, oto rachunek kupca, który dopiéro co odebrałam, chciałabym się przekonać, czy mu się istotnie tyle należy, chciéj go przejrzeć i zrachować za mnie. — Z kwaśną miną i prawie ze łzami w oczach, usiadły dzieci do wypełnienia rozkazów ciotuni, ale na

próżno; Olesia list był nietylko nieczytelném pismem skreślony, ale tak zawiły w stylu, z tak niewłaściwym wyrazem do mającéj go odebrać osoby, że się Hrabina przekonała, iż to była praca nad zdolności jéj siostrzeńca. — Nie lepiéj się powiodło Maryni! nauka rachunków była jedną z tych, do których lenistwo jéj najmniéj dozwalało się *przykładać; narobiła* więc *niezliczonych pomyłek i zamiast kilkudziesiąt* złł. powiększyła dług Hrabiny do kilku tysięcy. — Ta ostatnia przejrzała w milczeniu te tak niedokładne roboty dzieci, i bez żadnéj nad niemi uwagi schowała je do swego stolika; nazajutrz wdała się z Marynią w rozmowę o historyi Stéj, jeografii i t. p. ale i tu przekonała się ze smutkiem, że i w tych przedmiotach, lubo przez ochmistrzynią starannie nauczana, słabe bardzo na swój wiek uczyniła postępy. — Co Olesia, to już zwabić nie mogła do żadnéj

z sobą rozmowy, uciekał od niej jak od ognia; twierdząc że kobieta nieuczona w szkołach publicznych, nie powinna się mieszać do wychowania męzkiego, że on to wszystko lepiej zna od niéj; i że wreszcie nie widzi żadnéj przyczyny zdawania examinu przed obcą osobą, któréj pewnie już nigdy widzieć nie będzie, skoro się z domu rodziców oddali, co wkrótce nastąpić miało.—Pan Słowiecki lubo grzecznie bardzo był przyjął Hrabinę w domu swoim, nie bardzo jednak smakował w jéj rozumowaniu, osobliwie o wychowaniu dzieci! Przyzwyczajony słyszeć zawsze jednogłośne wyrazy uwielbienia, kiedy mówiono o Olesiu albo Maryni; nie pojmował jak mogła tak obeznana w tym przedmiocie dama nieuznać ich wyższości, nad wszystkie dotąd przez nią znane dzieci. — Jeszcze mniéj była Pani Słowiecka w tym względzie z ciotki swojéj zadowolniona; częściéj albowiem

miała sposobność przekonania się o jéj surowém zdaniu w téj mierze. — Zbliżał się wyjazd Hrabiny, a Oleś i Marynia równie jak i ich rodzice niebardzo się tem smucili. — Ciotunia nim wyjechała, miała długą rozmowę z Państwem Słowieckiemi; pokazała im jakieś papiery, wspólne rozumowania podniosły się głośno aż do sprzeczki, a rodzice naszych małych bohaterów wyszli z pokoju widocznie pomieszani; Hrabina zaś zasmucona i ze łzami w oczach; pożegnanie było obojętne ze strony całéj rodziny. — Ciotka zaś, rzekła ściskając czule Amelią, bądź zdrowa drogie dziecię, pomnij na to com ci mówiła; bodajbyśmy się w lepszém z sobą porozumieniu zobaczyły! To wyrzekłszy wsiadła do pojazdu, gdzie ją obojętnie i z niejaką powagą odprowadził Pan Słowiecki. — W kilka miesięcy po odjeździe Hrabiny, w skutku niepomyślnéj w kraju zmiany, wszystko się w domu

Państwa Słowieckich odmieniło... Znakomity urząd przez Ojca Olesia i Maryni posiadany, został mu nagle odjęty, z nim znikły: okazałe życie, znaczenie, dochody, a zatém i domowi przyjaciele... Bo, drogie dzieci! doznacie aż nadto prędko w przyszłości, jak to nas opuszczają przyjaciele i znajomi z wielkiego świata, kiedy pomiarkują, że się już u nas bawić nie będą mogli.... Niektórzy współ-uczniowie Olesia, nawet stronili od niego z wyraźnego swych rodziców rozkazu.... Pani Słowiecka odbierała już tylko obojętne wyrazy politowania, i suche zapewnienia żalu nad jéj smutném położeniem, tam gdzie dawniéj przesadzano się nad okazywaniem jéj szacunku i uprzejmości. — Pan Słowiecki lepiéj jak jego rodzina, z całym ogromem swego nieszczęścia obeznany nierównie więcéj jak żona i syn jego poddawał się rozpaczy! Co Marynia to słysząc, że i Szwajcarka i niektórzy

metrowie niebawnie oddaleni zostaną, a nieznając jeszcze dokładnie przyczyny ich oddalenia, bardziéj się cieszyć, jak smucić temi wypadkami zdawała; ale gdy Pan Rigodon został odprawiony, wtedy zaczęło się dopiéro dla niéj istotne nieszczęście. W krótce pałac rządowy, gdzie tak wygodne zajmowali pokoje, opuścić musieli i sprzęty równie wytworne, jak kosztowne, przez licytacyę publiczną zostały sprzedane; jedna tylko sługa dla Matki i córki, jeden lokaj pełniący ogólną służbę domową; i kucharka któréj potrawy po wykwintnym Francuzie bardzo złe się wydawały, stanowiły całą domową usługę Państwa Słowieckich. — Wyprowadzili się w odległą stronę miasta a lubo tam skromne bardzo życie wieśdź przedsiewzięli, nie był to jednak jeszcze domiar ich nieszczęścia.—Państwo Słowieccy żyjąc tak okazale, a niemając ani dóbr ani innych dochodów jak tył-

ko te, które urząd przynosił, narobili dosyć długów; ale póki byli w znaczeniu, żaden wierzyciel im się nie przykrzył; skoro zaś tylko wieść się rozeszła, o utracie posady Pana Słowieckiego; wszyscy jego wierzyciele odezwali się razem, i jeszcze nie opuścił był swego okazałego mieszkania, kiedy już bardzo rano z domu wychodzić musiał, ażeby niesłyszeć ich żelżywych wyrazów i nieznośnych jemu wyrzutów. Perły i szale Pani Słowieckiéj, kosztowne domowe ozdoby, malowania, starannie zebrany księgozbiór, a nawet i Maryni kosztowniejsze drobiazgi, wszystko na korzyść wierzycieli, zostało spieniężone! a już nawet i kucharkę odprawiono i jeszcze do nędzniejszego musiano przenieść się mieszkania; kiedy im nagle Bóg zesłał pomoc z takiego źródła, z którego się jéj nigdy spodziewać nie mogli.— Pan Słowiecki miał sposobność zobowiązania wielu osób podczas swego

urzędowania; ale jakże mało było takich, którzy sobie przypomnieć raczyli stosunki dawniéj między niemi a rodziną Słowieckich zachodzące; wiedząc jakiego przyjęcia mógł się w teraźniejszych okolicznościach spodziewać, niechciał się im przypominać, ażeby ich niewdzięczność nie powiększała jego udręczenia. — Jednego poranku wszedł do pokoju Państwa Słowieckich stary obywatel; jego cała powierzchowność przedstawiała na miernym majątku osiadłego szlachcica; nie poznali go zrazu rodzice Olesia i Maryni, ale ta ostatnia zaraz przyskoczyła do niego. Papo! zawołała, ukłoniwszy mu się; to ten Pan co przeszłego roku tak długo czasem oczekiwał na twój powrót z biúra, w naszéj jadalnéj sali przypatrywał się, kiedym lekcye tańca brała, uśmiechał się do mnie a potém usiadłszy w kąciku modlił się cicho; ja mu nieraz kieliszek wina podać kazałam, on mi wtedy

dziękował pokornie i błogosławiąc życzył ażebym w ślady Mamy i Papy wstępowała i tak dobrą była, jak oni. Ah to Pan Dobrowicz, zawołał Pan Słowiecki, przypominam sobie Pana teraz, cóż to go dzisiaj do mojéj lichéj ustroni sprowadza? — Ja to! ja jestem, Mości Dobrodzieju, odparł sędziwy obywatel, kłaniając się z uszanowaniem, tak, jak się dawniéj kłaniał Panu Słowieckiemu, może JWPan zapomniałeś, coś dla mnie uczynił jakeś mnie poparł w sprawiedliwych pretensyach moich, jak przez wpływ jego, moi synowie stosownie do ich zdolności korzystnie są umieszczeni! jak moja córka za staraniem JWPani do instytutu guwernantek przyjętą została, i już teraz sama na siebie pracuje. — Ja zaś odzyskawszy, za jego silną pomocą, szczupły ale wystarczający na siebie samego majątek, używając spokojnie

dobrodziejstw waszych, skoro tylko dowiedziałem się o wypadkach, które zmieniły los JWPaństwa, przychodzę im ofiarować usługi moje; wywdzięczając się z tylu mi wyświadczonych dobrodziejstw.... Usiadł Pan Dobrowicz obok Pana Słowieckiego i wytłómaczył mu sposób obmyślony przez niego, dla polepszenia losu całéj rodziny Słowieckich.... W bliskości wioski Pana Dobrowicza, miała bydź majętność w dzierżawę puszczona, pod korzystnemi bardzo warunkami; ktoby tam chciał szczerze pracować, dodał Pan Dobrowicz z przyciskiem, mógłby mieć na tym folwarku niezgorszy kawałek chleba; żądają tylko kilka tysięcy kaucyi, zapisanéj na stałym majątku; cena dzierżawy umiarkowana, mógłbyś Pan łatwo przyiść do niéj. — Ale, kochany panie, odrzekł Pan Słowiecki, ja gospodarować nie umiem! a kaucyi wystawić nie jestem w stanie. — To prawda, odparł

Dobrowicz, ale gospodarować ja Pana nauczę; tak jakeś mnie Pan uczył sposobów odzyskania niesłusznie zagrabionego majątku; a o kaucyi, ta na mojéj wsi zapisana będzie; przyjmie ją chętnie właściciel owego folwarku, a tym sposobem, wszelkie trudności uprzątnięte zostaną. — Podziękowali czule Państwo Słowieccy zacnemu Dobrowiczowi, obiecali zastanowić się nad jego przyjacielską radą, prosząc tylko o jeden dzień namysłu; zostawił ich samych, i nazajutrz powrócić obiecał. — Naradziwszy się wspólnie, uznali rodzice Maryni i Olesia, że nic innego do czynienia im nie pozostało, jak korzystać z ofiarowanéj pomocy; resztę kosztowności uratowanych z ogólnéj przedaży spieniężono, na zapłatę pierwszego roku dzierżawy; a zezwoliwszy z wdzięcznością na wszystkie inne Dobrowicza układy, wyprowadzili się na wieś wraz z dziećmi swemi. — Oleś

i Marynia nie byli nigdy na wsi, nie widzieli włościan, ani wiejskich zatrudnień, tylko na teatrze, gdzie ładnie ustrojone pasterki, albo ogrodniczki z kwiatami, lub sierpiami w ręku skakają sztucznie w baletach; możecie sobie wystawić, kochane dziatki, jak dziwne im się wydawały też same przedmioty w istocie. — Cóż to za niska i brzydka kamienica? zawołała Marynia, jak wjechali na popas do piérwszéj karczmy. A skoro zobaczyła, że w témże miejscu, gdzie się znajdowały żydowska rodzina, wiejscy ludzie, cielątka i gdakające kury, obiad jeść trzeba, zaczęła płakać i grymasić i niejadłszy nic, głodna pojechała daléj. — Ani rodzice, ani brat, nie zdołali jéj pocieszyć, bo równy wstręt ogarnął ich wszystkich w karczmie, lubo go ci ostatni, w przytomności swych dzieci nie wydawali.... Oleś pobiegł dla oglądania blisko pasącej się stadniny, a wziąwszy z sobą parę pieczonych

kartofli, niechciał i kosztować reszty obiadu. — Gdyby jak wy, moje dzieci, od dawna te lekkie niesmaki podróży cierpliwie znosić nauczeni byli, mniejby zapewne zdawało im się przykrą, ta przeciwność tak mało znacząca, w porównaniu tych które im do przezwyciężenia pozostały..... Był to albowiem dopiero początek, nader trudnego zawodu, który odtąd ich wszystkich stał się udziałem.— *Przyjechali na miejsce swego przeznaczenia.* *Co za smutny widok po tak świetnej przeszłości.* Dom drewniany stary, czarny, na w pół w ziemię wciśniony; z jednéj strony kilka pokoi mieszkalnych, z drugiéj kuchnia i folwark; sień duża, przez którą drób przepędzano, bo innego wyjścia nie było; dziedziniec lichym płotem ogrodzony, w pośród którego była mała sadzawka, na niéj pływało stado gęsi, do których z wrzaskiem mnóstwo kaczek się tłoczyło; za domem, pod drabiną przy-

stawioną do dachu, była kanapa z darniny, kilka krzaczków agrestu i porzeczek; kwatery z kapustą, pietruszką i marchwią, daléj szpaler grabowy przy płocie, i kilkanaście drzew gruszkowych i śliwkowych, to nazywano tu włoskim ogrodem. — Opodal od domu, stał obok kurników i chlewów stary murowany lamus, który służył za spiżarnią i schowanie na mleczywo, bo miał obszerne sklepy. Nieosobliwe to było, dla tak wykwintnie utrzymującéj się rodziny siedlisko, zrobiła obejmując je, tę uwagę w milczeniu Pani Słowiecka. Ale, te same okoliczności, które ją do zamieszkania onego przywiodły, nakazywały jéj, ażeby wraz z mężem pracowała nad dalszém utrzymaniem się, w tém tak niemiłém ustroniu. Możecie sobie łatwo wystawić, że Oleś i Marynia na wsi, nie tylko do zabaw ani strojenia się, ale nawet do nauki czasu nie mieli. Ojciec był zmu-

szony używać Olesia za pisarka; musiał on więc ludzi przy robocie pilnować, zapisywać pańszczyznę, klucze trzymać od stodół i śpichlerza; wstawał ze świtem, cały dzień albo konno albo piechotą zwiedzał pola, doglądał siewów i sadzenia kartofli; a wieczór wróciwszy do domu znużony, nie myślał o czytaniu, a tém mniéj o figlach i pustocie; tylko się kładł spać zjadłszy skromną wieczerzę, ażeby znowu nazajutrz pod okiem Ojca tąż samą się zajmować pracą. Marynia mimo swego lenistwa, nie mogła ani chwili próżnować; doglądała zrana dojenia krów, przy niéj masło robili, chodziła do spiżarni i duży pęk kluczy zawsze u paska dźwigała; bo ustawicznie czegoś od niéj żądano, a biédna dziewczynka, mając jeszcze na sobie wytworny miejski ubiór i modny lubo pognieciony kapelusz, przebiegła sto razy na dzień z domu do lamusa, a z tego na powrót; za-

dyszana, zmęczona, wracała smutno w wieczór do swego alkierzyka, gdzie jeszcze dla siebie i brata bieliznę narządzać musiała, bo jedna ich sługa nie mogła wystarczyć całej domowej robocie; wtëdy to poznały te biedne dzieci jak drogim był ów czas, który niegdyś marnotrawili na czczych zabawach i pustocie, mając wszelką sposobność kształcenia umysłu i nabywania wiadomości. Nieraz Marynia gorzko zapłakała, spostrzegając że coraz bardziej zapomina, tego nawet co się tak niedokładnie przy najlepszych była nauczyła metrach. Nieraz Oleś radby był pozostać w domu, ażeby sobie przypomnieć jaką dawniej odebraną naukę, nieraz chciał sobie powtórzyć początki matematycznych twierdzeń albo odczytać co z kilku klassycznych dzieł przez Ojca sprowadzonych; ale niestety! spiesz się, spiesz, Olesiu! dziś trzeba dosiać koniecznie, albo jutro owce strzygą, na krok nie można

odstąpić; tak nieustannie wołali na niego i Ojciec i poczciwy Dobrowicz, któremu się zdawało, że wszelka nauka jest niepotrzebną, byleby być dobrym gospodarzem. — Pan Słowiecki i jego żona utyskiwali skrycie nad zaniedbaniem wychowania swych dzieci; i ten to był cios najdotkliwszy przez utratę dobrego bytu im zadany.... Ale znając swoje położenie, zgadzali się z wolą Pana Boga, a usiłując w nich wpajać pobożność i moralne cnoty, życzyli sobie nawet, ażeby zapomnieć mogły o wszystkich innych przedmiotach, które tak świetnie otaczały piérwsze chwile ich młodego życia. — Biedne to były dzieci, kochana Babuniu! zawołała Anielka, oni nie mieli takiéj dobréj Babuni; taby ich niebyła opuściła jak ci Warszawscy przyjaciele. — O nie, zapewne, odparła Zosia, całując czule rękę Babuni. — Ale nie przerywajcie mi, rzekła Pani Uszycka, bo już niedługo czas będzie zanieść

żniwiarzom posiłek i użyć miłego wieczornego chłodu. — Słuchamy, słuchamy Babuni! zawołali razem Staś i Zosia; a Babunia tak dalej mówiła. — Już im w tém wiejskiém ustroniu upłynął rok cały; dnia jednego Marynia stała w ogrodzie pilnując pielących tam warzywa kobiét; robiła przytém skwapliwie skarpetkę dla brata, z domowych w zimie uprzędzonych nici, Oleś był przytomny robocie około pszczół na wiosnę; Pan Słowiecki wyjechał w pole, gdzie się odbywały jare siewy, a Pani Słowiecka kazała właśnie rozciągać płótno na trawie, gdzie się bielić miało; gospodyni karmiła mnóstwo drobiu przed sienią; a w kuchni krzątała się jedna dziéwka, która przy tém samém ognisku gotowała posilny obiad czeladki, wraz ze skromnym obiadem dzierżawców. — Gościniec szedł właśnie przy saméj dziedzińca zagrodzie; zatrudnienie Maryni bardzo ją blisko niego zapro-

wadziło, a słysząc turkot zbliżającego się niespodzianie pojazdu, mimowolnie w tę stronę pobiegła; cóż za radosne podziwienie ogarnęło ją, kiedy ujrzała piękną poczwórną karetę a w niéj owę ciotunię, któréj przestrogi tak mało skutkowały niegdyś w Warszawie na całéj Słowieckich rodzinie. — To Pani Hrabina! to ciocia! może téż nasza skończy się niedola, tak sobie mówiła Marynia, biegnąc co żywo do wrót dziedzińca i wołając ażeby je otworzono, bo już kareta dojeżdzała do nich; wszyscy się zbiegli na przyjęcie Hrabiny; Pan Słowiecki spostrzegł jéj pojazd z daleka i pospieszył galopem do domu; Oleś równie zdziwiony, jak ucieszony wpadł do pokoju mając jeszcze chustką twarz i głowę obwiązaną. Ciotunia uściskała z uczuciem wszystkich, weszła do ich domu, nie okazując żadnego zadziwienia, niewspominając o przeszłości; i owszem podwoiła swą czułość dla Ame-

lii i dobroć dla Maryni. Jeden tylko, rzekła ściskając ją, uczynię ci wyrzut: jakżeś mogła, moja Amelio, zachować względem mnie tak długie milczenie? Oddalenie się moje z miejsca zwyczajnego pobytu, spóźniło wiadomość, o tak dziwnéj losu waszego zmianie. Dowiedziawszy się o niéj z pism publicznych, pisałam do was do Warszawy, listy moje odesłano mi na powrót; i to mi nastręczyło domniemanie, żeście miasto opuścili i w wiejskiém żyjecie ustroniu. Ach cociu droga, odrzekła Amelia, co za ustronie.... Westchnęła głęboko, wiodąc wzrok po gołych pobielonych ścianach, nierównéj posadzce, i ubogo zastawionym stole, do którego właśnie Panią Hrabinię zapraszać miała. — Ale ta zajęła wesoło miejsce u stołu, chwaliła przedziwny rosół, pięknie upieczone kurczęta, polała je śmietaną, którą Marynia ze sklepu przyniosła, odmówiła czarną kawę, bo spostrzegła że dla niéj je-

dnéj tylko podaną była; a po tym wiejskim, ale, jak mówiła, wyśmienitym obiedzie, radziła ażeby dzieci wróciły do swych zwyczajnych zatrudnień i sama z rodzicami pozostała. Jużem wam powiedziała przyczyny opóźnienia się mego, w daniu wam pomocy, kochani Państwo, rzekła spokojnie Hrabina po oddaleniu się dzieci; nie wątpię o tém, że mnie moja siostrzenica o obojętność w téj mierze oskarżać nie będzie; ile że niepisząc wcale do mnie od czasu swego nieszczęśia, odjęła mi możność zmniejszenia onego; niespodzianie zostałam uwiadomioną o waszym pobycie w téj okolicy, a dowiedziawszy się z pewnością gdzie mieszkacie, nie chciałem powierzyć tego, co wam ofiarować przychodzę, korespondencyi listownéj, która czasem późno albo wcale nie dojdzie w odległém ustroniu; puściłam się w drogę i miło mi bardzo, że przynajmniéj zdrowych i już nieco z swojém położe-

niem oswojonych was zastaję. — Zarumieniła się mocno na te słowa Pani Słowiecka; on sam westchnął głęboko; uznała Hrabina, że początek jéj mowy nie był dla nich przyjemny, ale nie zważając na to, tak daléj mówiła: Odmiana losu, sposobu życia, zmiana dostatków w mierność, hałaśnego miejskięgo zamieszkania, w cichą wiejską zagrodę, są to rzeczy, które się tak często za naszych czasów wydarzają, że nie wiedzieć kogo żałować, czy tych których jeszcze ten los nie spotkał, ale niebawnie spotkać może; czy tych, którym przetrwawszy już wszelkie życia koleje, jakkolwiek mierny, ale pewny los stał się udziałem. Inna jest postać rzeczy, tam gdzie idzie o wychowanie drogich nam dziatek, znam to dobrze że i ty luba Amelio i twój mąż największego z tego powodu doznajecie zmartwienia. Ale ciotunia temu zaradzi, bo istotnie

ten jest główny przedmiot mego do was przybycia. — Tu wchodząc w rozmaite szczegóły, oświadczyła dobra ciotunia, że Marynię życzy sobie wziąść do siebie i wychować jak własną córkę, byleby jej posłuszną była. i jak drugą kochala Matkę. — Olesia do szkół odesłać radziła, na co przez lat trzy opłacać wszelkie obowiązała się koszta. — Państwu Słowieckim zaś ofiarowała *pomieszkanie* i *wygody w swoich* dobrach, gdzie on sam już doświadczony w gospodarswie będąc, miał zarządzać w jej niebytności. — Biedni rodzice nie posiadali się z radości na tak korzystne i przyjemne oświadczenia; przywołano Olesia i Marynię, ucałowali tysiącznie rączki ciotuni łzami radości je oblewając. — Pan Dobrowicz, wynagrodzony za swoje dobre serce, objął po nich korzystną dzierżawę; oni zaś wszyscy *pojechali* z Hrabiną; najprzód do *niéj* na

wieś, gdzie Państwo Słowieccy wygodnie umieszczeni zostali. Oleś oddany do szkół zaniechał trzpiotostwa, uczył się jak najlepiej, ażeby odzyskać czas utracony i po upłynieniu trzech lat skończył szkoły, wszedł do uniwersytetu, a następnie w służbie krajowéj użytym został. Marynia odwykła na zawsze od lenistwa, z ukontentowaniem wróciła do nauk, robót delikatnych i kunsztownych przedmiotów, i wkrótce się w nich wydoskonaliła, wdzięczna swojéj Dobrodziéjce. Dobra córka słodzi rodzicom samotność, często ich odwiedzając. Słodka, miła i wesoła, nagrodziła sowicie ciotuni starania i wydatki na dokończenie jéj ukształcenia poniesione. — A teraz idźmy do żniwa; kochane dzieci, powieść moja skończona. Babunia wstała, dzieci poskoczyły za nią dziękując za tak ładną powieść; obiecały z niéj korzystać. Nie obawiamy się jednak nigdy,

mówiły sobie, ażebyśmy na taką jak Marynia i Oleś mogli przejść biedę; bo czyż niema zawsze dla nas kochanych rodziców, dobréj Babuni i miłego Krajominą gdzie opuszczenie i niedostatek przystępu mieć nigdy nie mogą.

ŁAKOMY WILHELM

Powieść trzecia.

*Już się zmniejszyły upały, już słoń*ce nie tak długo przyświecało pięknéj Krajomina okolicy; wysokie topole i niskie klombowe krzewy zdobiły swe liście, to złotym, to purpurowym kolorem; rozwijały się georginy, a słodkie winne grono wabiło i usta i oczy; kiedy Pani Złotomska wybrała się z dziećmi w ostatnią swą tegoroczną podróż; Staś tą razą pozostał przy Ojcu, bo nauki jego dopiéro po wakacyach rozpoczęte, nie dozwalały mu się oddalać od szkolnéj pracy; Zosia i Aniélka ściska-

jąc go serdecznie przy pożegnaniu, obiecały mu uroczyście, że z pilnością powieść Babuni uważać będą, ażeby mu ją mogły powtórzyć, wróciwszy do Warszawy. Bo już nie wątpiły, ani przez jednę chwilę, że Babunia wywiąże się z uczynionej obietnicy. Ciekawość ich była więc bardzo zaostrzona; ale już kilka dni minęło, a o powieści ani Babunia ani dzieci nie czyniły wzmianki....

Wesołe grono sąsiadów i przyjaciół, zgromadziło się w Krajominie; przyjechał tam sędziwy obywatel, brat Babuni z innego województwa; był on wielkim lubownikiem polowania i wyjeżdżał codziennie na łowy w licznem gronie sąsiadów i strzelców, przy odgłosie psów rozmaitego gatunku. Zaczem myśliwi śniadanie zjedli i wyjechali, upłynęły pierwsze dnia godziny; potem Babunia i Mama trudniły się zbiorem rozmaitych jesiennych i zimo-

wych owoców i zachowaniem ich na różne sposoby przez zimę.... Pani Złotomska, chcąc Babuni zrobić niespodzianą przyjemność, umyśliła ozdobić i odmienić odległą część ogrodu, gdzie jéj Matka nie bywała wcale w tak spóźnionéj porze; sprowadzono tam więc dużo drzewek z lasu i mnóstwo krzewów z pobliskich ogrodów; wkrótce pięć ładnych *klombów na pamiątkę pięciu jéj wnucząt otoczyło łąkę; na któréj* miał być na wiosnę ładny wiejski domek wystawiony. Kiedy byli goście, a Pani Złotomska z niemi pozostać musiała, to ją wyręczała Zosia, udzielając dyspozycye Mamy, ogrodnikowi i ludziom, pod jego dozorem pracującym.... Myśliwi wracali późno na obiad, a ich powrót był nową zabawą dla dzieci; przynoszono do sieni niekiedy sarnę, a codziennie zające, kuropatwy i rozmaite ptastwo przez nich ubite; siadano potém do stołu wesoło; spełniano za zdro-

wie myśliwych, a czasem i żartem za zdrowie tych chartów lub wyżłów, które tego poranku przyłożyły się najwięcej do pomyślnych łowów; grano w wieczór w różne gry, dzieci miały swój stolik osobny, gdzie się rozmaicie wymyślonemi dla ich wieku grami bawiły; tak schodził dzień za dniem, zbliżała się chwila powrotu ich do Warszawy, a jeszcze o żadnéj nie wspomniano powieści.... *Aż przecie jednego wieczoru* taki był deszcz, taka zawierucha, że nawet i Dziadzia, jak nazywał Hipolitek brata Babuni pozostał w domu, a przeczytawszy z kilku poczt zaległe gazety, nie spodziewając się na wiska nikogo dla niepogody, zaczął już drzymać przy dopalającym się ogniu. Pani Złotomska wyszła do siebie po wieczorną robotę; a Anielka rzekła do Zosi z uśmiechem: jak to dobrze że już niema malin. — A toż dla czego? zapytała *Pani* Uszycka ciekawie. — A więc Babu-

nia zapomniała naszego zakładu, a może i tego, żeśmy byli w Krajominie w lecie, żeśmy wtedy o koszyk malin się założyli, że Babunia dotrzyma obietnicy; że Staś i ja zbiérać je musieliśmy; i żeśmy wtedy i maliny zjedli i śliczną powieść słyszeli.... A teraz Dziadzia rano na polowanie budzi, w dzień Babunia galarety robi, a wieczór Bóg wie w co Państwo tak późno gracie; bo *my* idziemy *spać nagrawszy się także* w naszego Assarmota... *Ale*, na tém koniec nie będzie, Babuniu droga! rzekła Anielka składając swe drobne rączki i przybliżając się z cicha do Babuni; nie, nie, ty nam co powiesz: o jakiéj leniwéj Maryni, albo o Antosi roztropnéj; bo, czy powiemy Stasiowi za naszym powrotem, że Babunia słowa nie dotrzymała; to być nie może! nie prawdaż?.... Tu i Zosia i Karolcia obstąpiły Babunię; Hipolitek biegał po pokoju na lasce Dziadunia, jak na koniu siedząc; a

Babunia pokazując na zasypiającego Pana Sędziego rzekła po cichu, żeby się uciszyli, obiecując dotrzymać słowa, skoro Dziadzio nazajutrz na polowanie wyjedzie; ale brat Babuni obudził się na te słowa, i dowiedziawszy się o co idzie, prosił usilnie siostrę, ażeby na skrócenie tak ponurego wieczora swoje opowiadanie obrócić chciała, zapewniając że on także z pilnością jéj słuchać będzie. — Wróciła Pani Złotomska, dano lampę, poprawiono na kominku; Pan Sędzia wziął ulubionego swego Hipolitka na kolana, żeby się spokojnie zachował; dziewczynki obsiadły stół z robótkami; a duży kosz przedziwnych winogron i brzoskwiń postawiono na stole, dla odwilżenia, jak mówiła Zosia, głosu Babuni. — W jedném z naszych fabrycznych miast, tak zaczęła mówić Babunia, które, jakby cudem wzniosły się z pośród borów i strumieni; przez przemysł pracowitych przybylców i

staranie opiekuńczego rządu, mieszkał majętny fabrykant nazwiskiem Maynert, był rodem ze Szląska ale się ożenił z Polką i założył w jéj rodzinném mieście znaczną fabrykę sukna, miał więc dom porządny, kilka foluszów na przedmieściu, czeladzi niemało, ogród przy mieszkaniu swojém duży, w nim kręglarnię gdzie w niedziele i święta z przyjaciołmi się bawił, i altankę z wieżyczką na gościniec publiczny obróconą, gdzie siadywał wieczorem z kuflem piwa i lulką; tam oczekiwał na pocztę która mu trzy razy na tydzień o podwyższeniu lub zniżeniu ceny wełny i sukien donosiła; tam się układał z żydkami o różne handlowe przedmioty; tam obchodził przy lulce i butelce wina z przyjaciołmi dzień swoich, syna, lub żony urodzin; słowem pan Maynert wiódł życie pracowite, spokojne, takie jak na uczciwego miernego stanu czło-

wieka przystoi. Pani Maynertowa *była* dobrą i rozsądną osobą; mając Niemca za męża, i mieszkając pomiędzy samemi prawie Szlązakami i Szwabami, przejęła po większéj części ich obyczaje i sposób życia; piła zrana cieniusieńką kawę w dużéj czarze zamiast filiżanki; szła potem sama na targ, targowała się tam jak najbardziéj, ale płaciła regularnie; w kuchni część większą poranku *trawiła, ale za to obiad* jéj męża i domowników *był* zawsze smaczny i obfity; lepszy a mniéj kosztowny jak nie jeden przez kucharza sporządzony, który się tylko ogromnością wydatków zalecą; resztę dnia obracała pani Maynert na czesanie, mycie i cackanie synka swego jedynego Wilhelma; i na niepospolicie szybkie robienie pończoszki, NB. kiedy nie było w domu prania, bo w tak ważnéj epoce Pani Maynert zapominała nawet o pończosze; a prawie i o

Wilhelmku; i tak była tą ważną sprawą zajęta, że biada tym, którzy jéj inne jakie przedmioty zatrudnienia poddawać chcieli; cała Polska uczynność i dobroć ustępowały w owym czasie Niemieckiéj zrzędności; Pan Maynert w takich razach usuwał się zawsze do pewnego jakiego schronienia, w którymby go domowa burza dosięgnąć nie mogła; skład jego *korrespondencyi* i altanka, *były* to dwa *przybytki* jego spokojności poświęcone; bo niestety! *kręglarnia* stawała się miejscem ulubioném w dni dżdżyste do rozwieszania chust i z niéj niezawodnie zostałby wyrugowanym, gdyby się tam on albo jego przyjaciele pokazali byli wtedy. Gdy się dobrze pranie powiodło, i biała jak śnieg bielizna z koszów do świecących się od czystości szaf przełożoną została, wtedy Pani Maynert, z uśmiechem na twarzy i z wypogodzoném czołem biegła do altanki, z któréj z zadowolnieniem

przywoływała męża i Wilhelmka, który wtedy dopiero, nie lękając się wrzasku praczek i łajania głośnego mamy, wracał wraz z Ojcem do domu, uszczęśliwieni obydwa, że już minęła ważna praca, którą dom cały w niezwyczajny wprawiała odmęt. — Wilhelmek był jedynak, kończył lat 9, rodzice go bardzo kochali, i można było zaiste! kochać tak miłą istotkę... Wilhelmek miał oczki niebieskie śliczne, włosy blado blond jak len miękki, spadały mu w pierścieniach na szyję; głos jego, kiedy o co prosił, albo za kim się wstawiał, był tak czuły i słodki, że mu trudno było co odmówić; rzadko też bardzo się to trafiało żeby rodzice w czem mu się sprzeciwić zdołali: a Wilhelmek pomimo tak pieszczonego wychowania, dalekim był od przywar, takie postępowanie zwyczajnie nadających. — Był on i owszem bogobojny, posłuszny i na swój wiek uczył się niezgorzéj; szkoła

dobrze urządzona w owém mieście dozwalała dzieciom fabrykantów tamecznych kształcić zawczasu umysł i serce przy odbieraniu początkowych nauk; a Wilhelmek nigdy o lenistwo albo krnąbrność nie przyniósł oskarzającego znaku. — A więc ten Niemczyk był doskonały; Babuniu! rzekła szybko Karolcia. A kiedy on był dobry, a rodzice jego także byli i dobrzy i szczęśliwi przy swojéj kawie i kręglach; zdaje mi się, że nie długo będzie o nich wszystkich powieść; szkoda! bo Dziadzia znowu uśnie, a my także spać pójdziemy.—Ależ cicho, Karolciu! nie dasz Babuni mówić, nudna dziewczynka jesteś, tak zganiła Zosia gadatliwość siostrzyczki. A Pani Uszycka uśmiechnąwszy się dalej, mówiła niezważaiąc niby na uwagę najmłodszéj wnuczki. Opisawszy zalety młodego Wilhelmka i szczęśliwość jego lat dziecinnych; nie mówiłam wam, żeby mój mały chłopczyna

był doskonałym, i zaiste, wiele mu bardzo nietylko do doskonałości, ale nawet do celowania, przed innemi swego wieku dziećmi brakowało. Bo jakkolwiek młody Maynert miał dużo dobrych przymiotów, przywara równie szpecąca moralne jego zdolności, jak szkodliwa zdrowiu, niszczyła w nim wszelką do dobrego dążność, bo mu zawsze stawała na przeszkodzie, kiedy się chciał najlepiéj sprawiać, albo Mamę i Tatę lub swoich nauczycieli, zadowolnić pragnął. Wilhelmek był niewymownie łakomy; ale to tak, jak sobie moje dzieci nawet wystawić nie możecie. — Nie przestawał on na tém, ażeby tak, jak ty teraz skrycie czynisz Anielko, wyciągać po jedném ziarneczku winogrona z koszyka i kłaść potajemnie do buzi (tu Anielka rączkę ściągnęła skwapliwie); albo tak jak ty Karolciu, co czasem weźmiesz na swój talerz parę makaroników więcéj jak

Mama pozwoli (tu Karólcia pogroziła Babuni paluszkiem uśmiechając się). Ale nasz Niemczyk zabierał, kosztował i jadł pokryjomu wszystko co mu się tylko do jadła zdatném być wydawało.... Nadaremne były prośby i zakazy Matki, przestrogi a czasem i ukaranie Ojca, wyśmiewanie współ-uczniów, narzekanie służących; nic nie zdołało poprawić łakomcę. Najadłszy się u stołu do woli, biegł do kuchni i tam reszty z talerzy zlizywał; żaden owoc, nawet niedojrzały, nie uszedł jego ręki, kieszenie jego pełne były różnych zielonych fruktów, ciast i serdelków, które nigdy nie omieszkał kupić, kiedy tylko woreczek jego dozwolił mu ich nabycia. Możecie sobie wystawić, jak często Wilhelm na niestrawność chorował, i ile razy biedną swą Matkę w kłopot wprowadzał o swoje zdrowie. Raz nawet już powątpiewano o jego życiu, a to przez przypadek, który mógł był mieć okropne

skutki. — Pan Maynert miał dostawić pewną ilość sukna jakiegoś niepospolitego koloru; potrzeba mu było uskutecznić pewną mieszaninę farb, do których wchodził i cukier; nasz łakomca widział, że kilka głów cukru niesiono do miejsca, gdzie farby gotowano; zakradł, się tam potajemnie, widział że Ojciec i kilku czeladników mieszali znaczną ilość cukrowego syropu, z jakiemiś proszkami różnego koloru; sądził, że to były konfitury, których smak koniecznie zakosztować pragnął. Pan Maynert wyszedł i zamknął Wilhelma na klucz, niewiedząc że on się tam znajduje. A nieszczęśliwy chłopczyna jak przysunął się do mniemanych konfitur i zaczął kosztować i chodzić od jednej do drugiej miski, napełnionej cukrem i farbą, takich dostał mdłości i wymiotów, że go na wpół żywego ztamtąd wydobyto; a stroskana Matka po całym domu i u sąsiadów go szukająca, z trudno-

ścią w tak niebezpiecznem swego łakomego synka wynalazła zamknięciu... Długo Wilhelmek pokutował za swoje bezprzykładne łakomstwo: musiał w łóżku leżeć, brzydkie lekarstwa zażywać, a później nawet dla zupełnego wyprowadzenia jadu, kąpiele mocne brać i pić wody mineralne. Rok prawie cały trwała jego choroba, biedni rodzice dużo pieniędzy na niego wydać musieli. Ojciec nie *mógł już tak pilnie doglądać* swojéj fabryki, *Matka* zaniechała rządu domu, zachwiał się dobry byt tych zacnych i pracowitych ludzi; bo u fabrykantów czas jest wyrachowany, codzienna pilność i doglądanie robót przez właściciela rękodzielni koniecznie potrzebny dla nadania jéj przyzwoitego ruchu, a wyrobom dostatecznego odbytu. Pan Maynert rzadko kiedy zdołał odejść od łóżka ukochanego dziecięcia, a choć nawet niekiedy wrócił do pracy, zawsze miał na pamięci niebezpieczny

stan syna, i rozpaczający wyraz twarzy swéj żony. O naukach ani myśléć nie można było, bo Wilhelm po przyjściu do zdrowia, miał tak osłabione siły, tak był utracił przytomność umysłu i pamięć, że minął rok drugi, nim się do szkoły wróćić zdołał. Tam go spotykały szyderskie pożałowania współ-uczniów, które mu niezmiernie przykre były; swawolni chłopcy nazwali go *cukierniczkiem*, i skoro się *tylko pokazał*, zaraz się *pytali po czemu konfitury*, śmiejąc się z niego nielitościwie; bo łakomiec ma jeszcze to w zysku, *że się nikt* nad nim nie użala. A więc prócz rodziców nikt nie żałował Wilhelma, a szyderstwo rówienników tyle go martwiło, że oprócz szkoły, gdzie ich widywać musiał, z *żadnym* się *i* bawić nie chciał. Wróciły się po *woli* jego siły zupełnie i począł pracować szczerze, ażeby czas stracony przez dwa latą choroby i osłabienia odzyskać; ale, niestety! łakom-

stwa nie zdołał z siebie wykorzenić, nawet przez tak okropne skutki jego. Trzeba było jeszcze silniejszéj nauki, ażeby zupełnie od tak szkodliwéj przywary został uwolniony; a ta dana mu została wcale niespodzianym przypadkiem. Pewnego dnia siedział Wilhelmek w ulubionéj Ojca altance, i uczył się z pilnością tych lekcyj, które już dawno byłby umiał, gdyby nie choroba, przez nieszczęsną przywarę zrządzona. Uczył się, ale jednak często główkę ku drzwiom zwracał, bo właśnie dnia tego Ojciec spodziewał się dwóch kupców z Rossyi, wiodących handel z Chinami; i zalecił żonie, ażeby dla nich w altance dobre przyrządziła śniadanie. Pani Maynert łączyła zawsze w swojém postępowaniu gościnność Polską z Niemiecką akuratnością; ponakładała więc sama talerze z marynatami, pół-gąskami i wędzonym łosiem, dodając do nich przedniéj Gdańskiéj wódki w kilku gatun-

kach, i Toruńskiego piernika; te wszystkie smaczne zakąski kazała za sobą przynieść do altanki, i rozpostarłszy na stole karmazynową jedwabną serwetę w duże białe kwiaty, symetrycznie je na niéj poustawiała. Cóż to za pokusa dla naszego małego łakomca! Nie zajmuje go już odtąd lekcya, uwija się około stołu. Skoro Matka weszła, błaga o kawałeczek pierniczka albo pół-gąska, z najmilszym uśmiechem, pokusił się nawet sprzątać sam ze stołu listeczek wędliny; ale tak go pilnują, że poprzestać musi na kawałku chleba z masłem, bo surowe i zimne potrawy ostro przez doktora zakazane mu były.—Pani Maynert wyszła z altanki, uprowadziwszy z niéj Wilhelmka, zamknęła ją na klucz przed nim, póki goście nie przybyli. Ci się zeszli niebawnie i zaczęli z sobą rozmawiać o swoich interesach handlowych, zjadłszy i pochwaliwszy smaczne śniadanie w pochlebnych dla go-

spodyni wyrazach. Wszystko jeszcze stało na stole, a że altanka była otwarta, wszedł znowu do niéj Wilhelmek cichaczem i smutno na te talerze spoglądał, na których jeszcze reszty śniadania pozostały. Przybliżył się nakoniec do okna, z którego daleki widok na lasy, jeziora i pola, szeroką bitą drogą przecięte, zajmujący przedstawiały obraz. Młody Maynert oparł się na oknie przysłuchując się *smutnéj pieśni* młodego ubogiego żebrzącego *pod oknem*. Był to chłopak blady, nędzny, łachmanami okryty; a że w owém miasteczku, kwitnącém pracowitością mieszkańców, rzadko bardzo zdarzył się włóczęga i próżnujący człowiek; widok ten był równie nowy jak przykry dla dobrego serca chłopczyny. Piérwsza jego myśl była obwinąć kilka groszy w papierek i spuścić je przez okno, druga zaś, lubo zawsze z dobrego serca pochodząca, jednak skrytą dążność do łakomstwa wskazująca, nastrę-

czyła mu domniemanie, że ów żebrak może być głodny i że dobrze będzie dodać mu kawał marynaty i chleba, do pieniężnego zasiłku; prosił po cichu ojca o pozwolenie, uzyskał takowe i wraz z młodą Niemką, która w domu służyła, zszedł na dół do ubogiego; żebrak ukłonił się nisko odbierając chleb i pieniądze, ale na widok podawanéj mu przez służącą marynaty, tak zbladł i zadrżał okropnie, że się biedny Wilhelmek niemało zadziwił i przeląkł, a tém więcéj kiedy ujrzał ubogiego padającego na ziemię w okropnych konwulsyach pieniącego i rzucającego się straszliwie. Służąca i Wilhelm krzyknęli przeraźliwie, zbiegli się domownicy, uprowadzili rodzice swojego syna; a żebrak został umieszczony w miejskim szpitalu, gdzie Państwo Maynert, równie litościwi oboje, przyrzekli sobie mieć o nim największe staranie. Doktór, który leczył Wilhelmka w chorobie, był także przełożo-

ny nad szpitalem w którym długo bardzo leżał ubogi Michałek; Pani Maynert nie dozwalała ukochanemu jedynakowi widywać swego ubogiego, jak go nazywał, lękając się dla niego wpływu złego powietrza; ale skoro przyszedł do zdrowia, wzięto go do fabryki i umieszczono pomiędzy czeladzią.—Ten chłopiec miał serce wdzięczne i rozsądek na stan i wiek niepospolity; starałsię więc odwdzięczać wszystkiemi w jego mocy będącemi sposobami, za łaski w domu dobrych państwa Maynertów doświadczane. Kiedy w niedziele i święta czeladź cała rozbiegła się po sąsiedzkich karczmach, albo dążyła na przechadzki w lasy pobliskie, Michałek pomagał Pani Maynert i służącéj w domowych zatrudnieniach, usługiwał do stołu kiedy byli goście, zmywał, sprzątał i zawsze był gotów na rozkazy Państwa i Wilhelma; jeden tylko sobie wyraźnie zawarował przypadek, to jest: żeby mu

10

nie przyszło usługiwać wtedy, kiedy były podawane marynaty albo wędliny, bo nie ręczył za siebie, czyby wstręt, który mu takowe sprawowały, nie mógł mieć i dla niego i dla przytomnych nieprzyjemnych skutków; miewał on albowiem rzeczywiście napady wielkiéj choroby, ale tylko wtedy kiedy te obmierzłe potrawy zobaczył. — Michałek dowiedział się wkrótce od służących, że Wilhelm nie był z przywary swojéj uleczony, i że się rodzice zawsze strzedz muszą, najmniejszą rzecz do jedzenia w jego przytomności zostawić; gdyż on się nie wzdrygał bynajmniéj kosztować nawet rzeczy niezdrowe, byleby tylko miały pozór dogodzenia jego nieszczęśliwemu łakomstwu. — Poczciwy chłopiec przedsiewziął uwolnić młodego swego dobroczyńcę, od tak niebezpiecznéj wady. A przyszedłszy razu jednego do Pani Maynert, prosił ją ażeby mu wolno było opowiedzieć Wilhelmkowi

w przytomności rodziców przyczynę jego wstrętu do marynaty; zezwolono na to. Pan Maynert i doktór który dawno pragnął dowiedzieć się o tém także, zeszli się do altanki gdzie szczególne swe zdarzenia miał im opowiedzieć Michałek. Wilhelm zwabiony talerzem biszkoptów, siedział i słuchał spokojnie, mając obiecany dobry z nich podwieczorek; ale im dłużéj mówił Michałek, tem *bardziéj* wzrastała ciekawość naszego łakomca, a *przy końcu nie* trzeba było i biszkoptów, ażeby całą jego zająć uwagę. (*) — Urodziłem się w Warszawie, Matka moja i Ojciec byli wyrobnikami; było nas w domu sześcioro rodzeństwa, a głód i nędza bardzo

(*) Wiarogodna osoba opowiadała mi to zdarzenie; nie jest zmyślone; przytrafić się miało doktorowi C.... tyle u nas wsławionemu. Zapytany od opowiadającej mi to osoby, czyli miał dzieci? odpowiedział: miałem córeczkę, ale mi ją kominiarze zjedli i wytłómaczył to, tymże samym co ja opisuję sposobem.

nam dokuczały, udało się jednak Ojcu umieścić braci starszych za chłopców to w aptece, to u ślusarza, siostry żebrały pod kolumnami po sklepach, a ja najmłodszy pilnowałem w domu garnuszka z kaszą, albo z kartoflami, który był całym naszym przez dzień posiłkiem, a do którego rzadko kiedy dostawaliśmy po kawałku chleba. Kiedy mnie tak zostawiono samego w domu przy owym garnku, kosztowałem raz po raz, to co w nim było, i nim nadeszli rodzeństwo, często go już do połowy wypróżniłem; wtedy Matka biła mnie rózgą, Ojciec kijem, a siostrzyczki nieoszczędzały wrzasku i wymyślania na brzydkiego żarłoka, jak mnie nazywały; ale ja nazajutrz toż samo czyniłem, niepomnąc ani na krzyk siostr, ani na bicie rodziców; bom był i głodny i łakomy, a pokusa była za wielka na mój wiek dziecinny; zaprawiwszy się na domowym garnuszku, robiłem z wie-

kiem znaczne postępy w łakomstwie; przekupki blisko nas stragany mające skarżyły się często, że im to bułeczki, to jabłka, to gruszki, niewiedzieć gdzie się podziewały, a nie spodziewały się nigdy, że maleńki sześcio-letni chłopczyna, tak się zręcznie wprawił do sprzątania onych, i że wkradając się to pod stół, to za okrycie z desek, to czasem i na wierzch wlażąc, upatrywał *chwilę dogodną, i w mgnieniu oka porwał* co się nadarzyło, ukrywał zręcznie swą zdobycz i wracał do domu, zaczém dostrzeżono ubytku na straganie... Nieodbierając żadnego wychowania, nie wiedziałem wcale o tém, że to grzech jest kraść owoc; i owszem Ojciec i Matka często nam mówili, że to wziąść co jest do jedzenia, nie jest grzechem, kiedy się jeść chce. Mnie bardzo ta nauka do smaku przypadła, a zamiast jednéj gruszki lub bułki, wziąłem wtedy kiedym to słyszał dwie lub trzy i zajada-

10*

łem je w kąciku, albo jak wszyscy na robotę wyszli. — Dostrzegły nakoniec nasze sąsiadki, że to ja sprzątam ich owoce ze straganów; wybiły mnie nieraz, nic to nie pomogło; wytoczyła się sprawa do Ojca, bo mnie na uczynku złapano i całą kiełbasę z kieszeni wyciągnięto..... Nie powiem wam kochani Państwo, ile wtedy plag dostałem, bobyście nad biednem dzieckiem płakać musieli. Ale mnie to nie poprawiło, bo niemając nic do czynienia w domu, nie będąc strzeżony ani doglądany przez nikogo, miałem wszelką sposobność do złego, a żadnéj chęci poprawienia się; myślałem tylko nad tém, jakby ukryć najzręczniéj moje kradzieże. Byłem bardzo szczupły i zwinny, wdrapałem się nieraz wysoko i przepatrywałem śpiżarnie zwykle po górach domów będące, właziłem przez otwarte okienka i tam dopiero hulałem sobie; bo nieraz i ćwiarteczka cielęciny i okrasy pas nie-

mały i serek wyśmienity zdobyłem, a szczury i koty obwiniano częstokroć o to, co było dziełem niegodziwego Michałka.... Tak szkaradne sprawowanie się byłoby mnie bez wątpienia, nie tylko na łakomca, ale na złodzieja, a może i na mordercę wykształciło, gdyby mnie był Ojciec dłużej w domu trzymał. Mieliśmy właśnie w sąsiedztwie poczciwego majstra kominiarza, który nieraz widział, jak ja zręcznie po dachach i rynnach biegałem; jak się wciskałem w najwęższe szpary, jak umiałem się spuszczać ze schodów po krawędzi; zręczność moja doskonałego obiecywała kominiarczyka; ofiarował sąsiad memu Ojcu wziąść mnie na naukę; Ojciec się nie drożył ze mną, majster mnie żywić i okrywać obiecał; siostra starsza objęła po mnie obowiązek gotowania objadu, a ja dostałem się przecie do porządnego domu. Niewiem wiele wtedy lat miałem, ale byłem je-

szcze mały, a przykłady, które mi tam dawano, jeżeli nie wszystkie to przynajmniéj niektóre moje wady wykorzenić potrafiły.... Pani majstrowa miała o nas staranie, uczyła pacierza i katechizmu, sporządzała naszę odzież i napominając surowo, wypraszała często od surowszéj jeszcze męża kary. Ale lubo się tam stałem obyczajniejszym, łakomstwo moje nie zmiejszyło się jednak, chociaż *w domu* niemiałem *mu* czém dogodzić, *żywiłem się jak* mogłem; a to co sprzątałem, skrycie ukrywałem przed wszystkiemi. Zwinność moja w naszém rzemiośle wyniosła mnie wkrótce do stopnia piérwszego czeladnika; majster kazał mi najtrudniejsze wycierać zakątki pozałamywanych kominów; wszędzie dotarłem; najwyższy i najwęższy luft był tylko dla mnie igraszką; a tam gdzie się inni wsunąć nie ważyli, ja śpiewałem sobie swobodnie przy chrzęście moich miotełek. Otwarte

więc miałem pole zostać majstrem kominiarskim kiedyś, możebym się nawet był z córką mego pryncypała ożenił, i na siebie mógł już pracować, ale cóż! kiedy moje przeklęte łakomstwo całą tę przyszłość zniweczyło, a to takim sposobem. — Zawołano nas dnia pewnego do jednéj z kamienic starego miasta, w któréj kominy z dawnych prostopadłych na teraźniejsze poprzeistaczane, tak były do wycierania trudne, a osobliwie jeden z nich, że moi kolledzy we mnie jedynie pokładali nadzieję ich oczyszczenia; wlazłem na dach, rozpoznałem całą trudność roboty i szczęśliwie ją dokonałem; a skończywszy pracę spuściłem się powoli kominem otwartym i wszedłem do pięknego pokoju. Ładne tam były malowania i rozmaite wcale mi nieznane rzeczy; byłem sam jeden, jakaś nieszczęśliwa pokusa nastręczyła mi chęć poszukania tam czego do jedzenia, bo łakomstwo

nad wszystko zawsze mną władało; widzę na stole dużą fajansową miskę, a w niéj gatunek jakiejś marynaty korzeniami zaprawnéj, wydającéj zapach mocny a dla mnie przyjemny, bo mi coś dotąd nieznanego kosztować nastręczała; nosiłem zawsze nożyk przy sobie, kraję więc, płatam nieznaną potrawę i połykam chciwie niezastanawiając się nad jéj smakiem; żal mi zostawić *reszty, wyjmuję z miski i pakuję* do małego *woreczka, który* na plecach miałem. Jak tylko miskę wypróżniłem chciałem uciekać co żywo tą samą drogą com przyszedł; aż tu drzwi kryte niedaleko komina otwierają się i wchodzi niemi jakiś Pan stary w szlafroku, za nim młody człowiek niosący na desce głowę dziecięcia nabalsamowaną i doskonale do długiego przetrwania usposobioną; okropny dreszcz przebiegł mnie na ten widok.... Pan cofnął się, jak zobaczył moję czarną postać i

zawołał na mnie z gniewem zepsutą polszczyzną: Co ty tu robisz niecnoto? zkąd przyszedłeś? po co tu stoisz? Ja chciałem zemknąć szybko i już się w komin wsuwałem, kiedy ów młody człowiek zawołał, wskazując na miskę: Panie doktorze! nasz preparat gdzieś się podział a ten chłopiec ma pełną gębę jakiegoś jadła. — O Jezu Marya! krzyknął doktór? ten łajdak zjadł Pannę Hrabiankę! co ja Ojcu powiem?... Na te okropne słowa upadłem zaraz bez zmysłów w kominie; doktór i cyruliczek niewiele się mną zajęli, ale widząc mój woreczek czemsiś napełniony, otworzyli go i wyjęli z niego reszty mego obrzydłego śniadania; a pierwsza rzecz którą zobaczyłem, przyszedłszy do siebie, była to ręka i noga owego umarłego dziecka, z worka wyciągnięte, których w prędkości nie widziałem wcale kiedym worek napełniał. Na ten widok i doktór i cerulik bardzo się desperowa-

li, powtarzając nazwajem: ten hultaj zjadł Pannę Hrabiankę. O Boże! jak my to Ojcu powiemy.... Tyle pieniędzy straconych. Zacząłem drzeć i krztusić się okropnie; natura sama sobie ulżyła; ale wrażenie, które ten fatalny przypadek na mnie sprawił, tak było okropne, żem zaraz dostał konwulsyi, które potem w istotne napady wielkiéj choroby się wykształciły, lubo po długiéj słabości odzyskałem cokolwiek zdrowia. Doktór, w którego domu tak strasznego lekarstwa przeciw łakomstwu doświadczyłem, był to Włoch, sławny anatomista, który posiadając sekret balsamowania ciał umarłych doskonale, miał zlecenie od bogatego Pana jakiegoś, ażeby mu córeczkę jego niedawno zmarłą od zepsucia zachował. — Niewiem jak on się z tego wypadku wytłómaczył, bom nadto był i długo i mocno chory, ażebym się mógł o to dopyty-

wać. — To tylko dodam do końca mojéj historyi, że moi koledzy dowiedziawszy się o moim przypadku, bali się mnie i stronili od obżartucha, (tak mnie odtąd nazywano) jak od jakiego potworu. — Znikły wszelkie nadzieje polepszenia sobie losu. Kominiarczanka uciekała odemnie jak od widma jakiego; sam majster był zmuszony oddalić mnie a niespodziewając się od swoich niczego, porzuciłem Warszawę i błąkając się i żebrząc przyszedłem aż tutaj, gdzie na widok obmierzłéj marynaty dostałem nowego napadu choroby, od któréj sądziłem się już być wolnym od dawna. Dobrodziejstwa wasze dały mi sposób do życia, a tak straszne doświadczenie na zawsze uleczyło mnie od szkodliwego nałogu. Wolę nic nie ieść i dzień cały, jak jakie jedzenie, gdziekolwiek postawione zakosztować i spodziewam się przetrwać w tém chwale-

bnem postanowieniu przez całe życie moje. — Babuniu! Babuniu! zawołały dzieci, a Niemczyk co na to? spodziewamy się że i on stracił chęć kosztowania pół-gąsków pokryjomu. — Dziwna to powieść Babuniu, rzekła *Zosia, jak* to dobrze że te panienki, wskazując na siostry, na cukierkach i łakotkach poprzestają, ale Staś lubi półgąski, będziem go zawsze prześladować *kominiarskiem śniadaniem jak za wiele* ieść będzie, *nieprawdaż?* Niemczyk odrzekła Babunia, słuchał z pilnością powieści Michałka, rodzice i doktór uważali że na nim wielkie zrobiła wrażenie; i w istocie tak się od czasu tego poprawił, że Państwo Maynert czuli się być winni biednemu Michałkowi, więcej jeszcze wdzięczności, za daną synowi naukę jak on jej był winien ich domowi za wyświadczone mu łaski. — Wilhelm zupełnie odzwyczajony od tak szpe-

tnego nałogu, urosł, korzystał z dobrego wychowania i jest teraz kupczykiem w jednym z pierwszych sklepów w Warszawie. — Co też WMCPani wymyśliłaś, moja siostruniu, dla bawienia tych dziatek, za niesmaczną bajeczkę! pfe, moja Pani! aż mi się mdło robi; tak mówił Pan Sędzia budząc się, gdy Pani Uszycka umilkła, bo drzymał staruszek cały wieczór i na końcu dopiero historyi *Michałka*, zasłyszał ostatnie jéj szczegóły. — Niech się *Dziadzia* nie gniewa, zawołała Zosia; jutro nie będzie nic takiego na śniadanie coby mogło przypomnieć przygodę Michałka; myśmy się bardzo tą powieścią zajęli, a lubo nie tak wesoła jak poprzednie, dziękujemy bardzo dobréj Babuni, *że* nam nietylko ulubione od losu dzieci przedstawia, ale *że* nas wiedzie i tam, gdzie nędza i pomroka niewiadomości panują. Bo porównywając nasz los z

losem tych nieszczęśliwych, dziękujemy codziennie Bogu za postawienie nas w tak błogim życia okręgu, gdzie i ze starań rodziców korzystać i z przyjemności położenia naszego cieszyć się możemy.

ELZUSIA.

Powieść czwarta Babuni.

Już śnieg zaprószył i obielił wszystkie ulice Warszawy, odzywały się po nich szumnie dzwonki licznych sankarzy; małe dzieci już wcale nie wychodziły na przechadzki, bo im wiatr mroźny groził kaszlem lub katarem, starsze tylko przy pięknéj pogodzie przechodziły się po ogrodzie Saskim; ale tém zabawniéj i miléj było w domu dla dobrych i grzecznych dziatek; zjeżdżali się na zimę do miasta ci krewni i przyjaciele ich rodziców, którzy tylko tę

smutną porę roku w stolicy przepędzać zwykli; układano wieczory i bale, niezapominająo o dziecinnych balikach; które tak przyjemną i im, i starszym osobom sprawiają zabawę. Obchodzono uroczyście dnie, jakiéj rodzinnéj pamiątce poświęcone, święta zimowe, Nowy Rok, Trzy Króle zgromadzały do rodzinnego domu i pilnie uczących się studentów, i na pensyi zostające panienki, i tych którzy pozbawieni rodziców i majątku, z dobroczynnéj ręki wspaniałych opiekunów wychowanie odbierali.... Pełno było po pokojach śmiechu, biegania, żartów i igraszek; wymyślali nowe gry, pokazywali sobie nawzajem zabawki i lalki, od przybyłych cioció w i wujaszków im dane; słowem, zima lubo pozbawiona kwiatów i ciepłego słońca, zieloności i owoców, i tak niemało nastręczała chwil przyjemnych, dla was lube dzieci. Te

wszystkie uciechy w domu Państwa Złotomskich bywały podwojone za przybyciem Babuni. Staś i Zosia, nie dali się nikomu uprzedzić w przygotowaniu tego wszystkiego, co miało Babuni mieszkanie przyjemném i wesołém uczynić. Salonik mały, ale ładnie urządzony, pokój sypialny ciepły, i od ulicznego wrzasku daleki, były już zupełnie na jéj przyjazd gotowe; pułki do książek poprzybijane, stolik do pisania różnemi drobiazgami ozdobiony, wszystko to czekało Babuni.... A bardzo niecierpliwie oczekiwały na nią dziateczki, które ona tak kochała.... Co za niespokojność, za każdą pocztą; może słaba, może nie przyjedzie, może się mrozu zlęknie, spóźni się i na święta do nas nie zdąży. — Takie były ustawiczne przedmioty niespokojności wnucząt; którym nareszcie położył koniec pożądany przyjazd Pani Uszyckiéj. Kare-

ta pakowna ną saniach wjeżdża na kilka dni przed Bożem Narodzeniem do bramy domu Państwa Złotomskich; Zosia, Anielka, Karolcia, poznają z daleka powóz dobréj Babuni... Staś był w klassie, ale Hipolitek trzepie rączkami, i chce koniecznie ażeby go za siostrami, które szybko zbiegły, zaniesiono na schody. Prowadzą Babunię z krzykiem na górę, Zosia odwięzuje kapturek z głowy, Anielka odbiera podróżny woreczek, a Karolcia wynosi ulubionego pieska z karety; obstępują potem kochaną Babunię, prowadzą do jéj pokojów ażeby wypoczęła; znoszą wszystko to coby pokrzepić albo jéj spoczynek po drodze sprawić mogło; Pani Uszycka doznaje w téj chwili jak jest miło być otoczoną kochającemi nas istotami.., A nim jeszcze jéj przyjdzie uściskać córkę, (nieobecną na ówczas w domu) już cały urok rodzinnych związków i cza-

łych zabiegów dziecinnego przywiązania, otacza ją, i uszczęśliwia. Jakże to słodko przy schyłku życia poświęconego wypełnianiu często trudnych obowiązków, jakże to jest słodko, mówię, znaleźć w gronie rodziny, tak szczere tak uprzejme przyjęcie. Oby nam wszystkim pozwoliła kiedy łaskawa Opatrzność doznać takowéj szczęśliwości; jakżeby łatwo było wtedy zapomnieć o cierpieniach przeszłych, ciesząc się obecnością *tych*, *których stratę tak gorzko* nam opłakiwać przychodzi..... Ale wybaczcie lube dziatki, zapomniałam w tém smutném pogrążona dumaniu, że was bawić, a nie zasmucać obiecałam. Przybyła więc Babunia; z nią różne ładne dla dzieci, na zimę ubiory: dla małych zabawki; dla Zosi balowe sukienki, bukiety z kwiatów i modne fraszki; Staś dostał zbiór zupełny dzieł, których jeszcze w jego małym księgo-zbiorze nie dostawało; Hipolitek cieszył się także no-

wym konikiem. — Ale tak było wiele przyjaciół odwiedzających Babunię; tyle się starała Pani Złotomska i mąż jéj uprzyjemnić pobyt dobréj Matki w ich domu, że ani myśleć można było o czwartéj powieści. Babunia lubiła bardzo towarzystwo, bywała na teatrze, czasem nawet można ją było na proszony wieczór namówić; sypiała dłużéj jak w Krajominie; kiedyż więc można ją było tak zastać wolną, żeby jéj przypomnieć obietnicy wykonanie, a tu koniec zapust się zbliżał; a wkrótce potém miał nastąpić wyjazd drogiéj Babuni. — Często więc bardzo rozmawiały dzieci między sobą, o tak ważnym przedmiocie. Staś nie radził naprzykrzać się Babuni; Zosia zaś utrzymywała, że przepomnienie zupełne o powieści, da jéj powód do sądzenia, że im się poprzednie nie podobały; Karolcia i Anielka wołały codzień na starszych, ażeby przypomnieli Babuni, czy tam nie wié co znowu o

jakim kominiarczyku, albo Niemczyku z niebieskiemi oczkami, ale same nie śmiały o tém zacząć; bo Babunia codzień ubrana pięknie, gości przyjmująca, i wraz z córką zawsze w salonie obecna, zdawała im się być nadto obcemi osobami zatrudniona, ażeby się dziećmi zajmować chciała. — Nie uchodziły te wszystkie zabiegi pilnego oka Pani Uszyckiéj; już ona sobie była w *Krajominie przygotowała powieść*, różniącą się w swéj osnowie zupełnie od poprzednich; ale nie znalazła jeszcze była dotąd stosownéj chwili, do dania lubym dziatkom, nowéj lubo zawsze przyjemnéj nauki. — Przy końcu zapust mówiono wiele o baliku dzieciom, na którym miały być kadryle z dzieci przebranych w różne ubiory obcych narodów; Staś i Zosia należeli do tych kadrylów, dwie młodsze jeszcze niebardzo dobrze tańcujące, miały tylko w zwyczajnym ubiorze towarzyszyć star-

szym; Hipolitek zaś, tłusty i żwawy chłopczyna, za bachusa przebrany, miał siedząc na beczce i otoczony gronem przybranych w ubiory orszaku jego dzieci, wjazd swój uroczyście do salonu uczynić. Pani Złotomska mocno się zajmowała strojeniem swych dzieci na ten wieczór, ale nim jeszcze nastąpił, wypadło Panu Złotomskiemu dać u siebie obiad, na którym znakomite osoby znajdować się miały; Babunia wyprosiła się od tak świetnéj, a może cokolwiek na jéj wiek i zdrowie przykréj uczty; została więc u siebie; dzieci zaprosiła na swój obiad, obiecując sobie wesoło z niemi czas przepędzić. Po skończonym objedzie sama Pani Uszycka wspomniała o nowéj powieści. — A widzisz Zosiu, zawołała Anielka, nie mówiłam ci, że Babunia ma dla nas coś lepszego jeszcze, jak sukienki i lalki; mnie zawsze wierzyć trzeba, dodała, prostując się poważnie, i udając w krześle się

poprawiającą Babunię. — A mnie czy nie trzeba słuchać przerwała Karolcia, czy ja nie prosiłam was zawsze o to, żebyście przypomniały o bajeczce jakiéj. Babuniu, Babuniu! czy to będzie stolarczyk, czy znowu kominiarczyk, czy jaka Antosia, czy Oleś na koniku po polu biegający? Wcale inną przygodę, wam dzisiaj opowiem, moje kochane dziatki; często was Mama uczy, że w każdéj *życia dobie* do okoliczności stosować się należy, a że *teraz jesteśmy* w *mieście*, w pośród zabaw i zapust, ja wam opowiem naukę, którą odebrała panienka w tym wieku, co ty Anielko, wtedy kiedy ja waszą Mamę woziłam na dziecinne baliki, tak jak ona was teraz na nie wozi. — Była to także zima bardzo wesoła; Pani Tomszycka, przyjaciółka nasza, niezmiernie wtedy była zajęta pięknością swojéj małéj Elżusi; pieściła ją tak, jak się pieści jedyne dziecię kiedy się na skutki nierozsądnych nie-

zważa pieszczot. Od najmłodszych lat swoich Elżusia słyszała bezustanku powtarzane wszystkiemi językami, któremi u nas w salonach mówią, te słowa: jakże ładna; a będąc z Matką w szóstym roku swoim u wód w Szląsku, nauczyła się z łatwością po niemiecku, bo jéj się to bardzo podobało, że na spacerze i u źródła gdzie ją Matka czasem brała, wszyscy się zastanawiali mówiąc: *das ist ein sehr hübsches Kind*. Elżusia więc od *najpierwszéj pory życia była* niewymownie próżną; i ta wada ćmiła wszystkie jéj przymioty; bo ona miała przytém i dobre serce i łatwe do nauki pojęcie. Ale, cóż z tego, kiedy nieszczęsna chęć zajmowania wszystkich swoją pięknością, nie dozwalała jéj się do niczego szczerze przykładać, w żadnéj nauce postępów robić nie miała czasu, bo zwierciadło było jéj najmilszą zabawą; a gdybyście byli widzieli z jakiem zadowolnieniem uśmiechała się patrząc

na siebie, rzeklibyście, drogie dzieci, że zbiór wszelkich doskonałości w sobie upatruje. — Możecie więc sobie wystawić, co za zabiegi, co za starania, co za wydatki ponosiła Pani Tomszycka, kiedy jéj córeczka doszła do tego wieku, gdzie ją z innemi rówienniczkami swemi, na baliki dziecinne wozić mogła; już téż wtedy ani ochmistrzyni ani metr żaden nie mógł doyść ładu z panienką, która przy niczém niepohamowanéj żądzy podobania się, nawykła do lenistwa i do mrukliwego odpowiadania osobom, do jéj wychowania należącym. Pani Tomszycka niewiele zważała na wady, w charakterze jéj córki tak znaczną odmianę sprawujące; bo moje dziatki, nie każda Mama jest do waszéj podobną; mało znajdziecie takich, co tak jak moja córka nie spuszczają swych dziatek nigdy z oka, wyjąwszy wtedy kiedy je osobom, zupełnie godnym swego zaufania powierzyć mogą. Mama Elżusi

jeszcze powabna i młoda, a przytém majętna wdowa lubiła się bawić, tańcować i stroić; nie było w tém zaiste nic złego; bo w towarzystwie wyższego rzędu, urozmaicać zabawą życia swego chwile, niekiedy się powinnością staje; ale jak w tém tak i we wszystkich innych stosunkach towarzyskich, przyzwoitą zachować miarę, i obowiązki rzeczywiście użyteczne przekładać zawsze nad te, które z przyjemnych stosunków *wynikać mogą, jestto* prawdziwie zadosyć czynić swemu powołaniu. Córeczka więc, wstępując w ślady Mamuni, lubiła jeszcze bardziéj jak ona zabawy, stroje i tańce; a lubo dopiero jedenastoletnia panienka, wzdychała tylko do owego czasu, gdzieby jéj chwile tak jak chwile życia jéj Matki, różnością tylko uciech odznaczone być miały; a nie wiedziała o tém nieboraczka, że nim się do zabaw światowych zdolnemi stać możemy, trzeba się przykładać

do wykształcenia, jeżeli nie serca, to przynajmniej umysłu swego, bez czego nawet próżność wymaganego hołdu odbierać nie będzie. — Przy końcu owéj przyjemnej pory roku w okazałe zabawy obfitującéj, odwiedził Warszawę gość dostojny, na którego godne przyjęcie ubiegały się wszelkiego stanu osoby; wyczerpano wkrótce wszystko co tylko wytworna i obfita wyobraźnia tych, których serca on tak istotnie zniewalać umiał nastręczyć im mogła, do uprzyjemnienia i uświetnienia jego w naszéj stolicy pobytu; pozostała jeszcze zabawa dziecinna, do któréj on sam myśl pierwszą nastręczył, gdy odwiedzał xiężnę S. i zastał tam grono pięknych dziatek; oświadczył że baliki dziecinne powinny być nader zajmujące w Warszawie, gdzie te ładne istoty, tak staranne wychowanie odbierać się zdają i tak ujmującą powierzchowność okazują. Zniewolona temi słowy xiężna prosiła

12*

znakomitego gościa o wyznaczenie dnia; gdzieby mu dzieci także hołd swój oddać mogły, i równie jak ich rodzice obchodzić świetnie jego pierwsze do Warszawy przybycie. Skoro tylko dzień ten został oznaczony, wszystkie Matki więcéj nierównie nim były zajęte, jak temi które go poprzedzały, pomimo ich świetności. Salon xiężnéj przybrał postać do okoliczności stosowną i tak powabną, jak rój aniołków, które w nim pląsać miały. *Draperye białe zdobiły ściany i okna podpinane bukietami* z róż; zielone upłoty z liści pomarańczowych otaczały marmurowe kolumny; świeczniki i lampy były wszystkie gazą białą okryte, i tak mile wydawały światło, że tylko urocze promienie xiężyca przyjemniejsze przedstawiać mogły. Miejsca do spoczynku w pośród kwiatów i drzew pomarańczowych urządzone były; a posadzka na wzór Angielskich balów, pięknym pędzlem gustownie ma-

lowana, została przeistoczoną w śliczną murawę, otoczoną bukietami z najwytworniejszych kwiatów. W takiem to czarującem miejscu chciała zgromadzić xiężna wszystkie dzieci, które przez swoję piękność, doskonałość tańca i przyjemną postać mogły uzupełnić okazałość téj zabawy; i ażeby przytém coś zabawniejszego jeszcze utworzyć, wszystkie dzieci miały być przebrane w ubiory rozmaitych narodów i czasów, i to było właśnie, co zajmowało tak wyłącznie wszystkie Matki. Bo nietylko że się wysilały na wytworne koncepta w ubiorach, ale chciały jeszcze zachować tajemnicę w swoich wynalazkach, ażeby każdego dziecka przebranie nietylko było gustowne i niepospolite, ale ile możności przez innych nie naśladowane. — Dom Pani Tomszyckiéj przedstawiał w tak pamiętnéj okoliczności obraz prawdziwego zaburzenia; ileż to w nim było niespokojności, nim bilet

zapraszający ją doszedł; ileż radości jak go odebrała; a nadewszystko ile kłopotu i trudów, jak przyszło wyszukiwać ubiór, któryby piękność Elżusi wystawiał, w najwłaściwszym i najbardziéj odznaczającym się sposobie. Ani Pani Tomszycka, ani Elżusia, a *tém bardziéj* otaczające je osoby nie miały chwili spokojnéj, póki tak ważny przedmiot rozstrzygniętym nie został. Elżusia miała *rysy twarzy regularne, włosy śliczne, wzrost na swój wiek okazały*, powinna więc *była przywdziać* szaty królowy; Elżusia godna była berła i korony, a więc z pogardą odrzucono gazę, perły i kwiaty; a gronostaje, aksamit, lama i klejnoty okryły w téjże chwili gotowalnią Pani Tomszyckiéj. Ona zaś sama z dwiema zręcznemi Pannami, zajęła się w największéj tajemnicy, tą ważną czynnością, która wtedy i inne Matki wyższego towarzystwa zajmowała. — Nadszedł nakoniec dzień ten

pożądany; śliczna była Elżusia, w starożytnym królowy Jadwigi ubiorze; miała suknią ze złotéj łamy, bogaty bawet drogiemi kamieniami szyty i haft na sukni z przodu z kolorowych kamieni do dołu coraz szerzéj się rozchodzący; rękawki długie wązkie łamowe rozcinane z bufami z krepy białéj na guziki brylantowe spięte; suknią zaś zwierzchnią aksamitną karmazynową, gronostajami oszytą, z rękawkami na wyloty zarzuconemi, które nie zasłaniały jednak jej giętkiéj kibici; korona brylantowa zdobiła jéj czoło, a bogato złotem haftowany welon spadał na jéj ramiona wraz z dwoma kosami długich ciemnych włosów, kwiatami i wstążkami przeplatanych. Bogate naszyjniki i bransoletki, błyszczące kolczyki i pierścionki, aż nadto zbogacały jéj strój okazały! Była to doskonała miniatura królewskiéj dziewicy; w chwili kiedy niewinna, młoda i piękna przybywa

wśród radości i blasku, objąć potężne Królestwo.... Cały dom obstąpił Elżusię, pochwały i zadziwienia okrzyki jak grad leciały z ust domowników; Matka jéj zupełnie była zadowolniona; i z dumném przekonaniem o podobaniu się swéj córki, weszła z nią do xiężnéj. Balik ów przedstawił w téj chwili widok nader ujmujący: coraz przybywały do salonu xiężnéj jakby czarodziejską rószczką sprowadzone mieszkańce rozmaitych krain. Tu dziewice z nad Wołgi z kołczanem na ramionach i łukiem w ręku, tam Peruwianki z pierzastą koroną na głowie; przy téj kolumnie siedzą dwie Dunki w szkarłatnéj odzieży z czapeczkami w kształcie wieży na głowach, a koło nich Ukrainka w nadobnym ale szczególnym wieśniaczym ubiorze. Chinki przechadzają się z Kalabryjskiemi dziewczęty, a grono Amorków z maleńkich chłopczyków złożone, wszędzie się wciska, wszędzie się

miesza do żartów i śmiechu małych wspól-towarzyszów swoich. Jedna tylko panienka nie miała kostiumu, była to siostrzenica xiężnéj, Basia D..... która nieskończywszy jeszcze żałoby po Ojcu, pierwszy raz dnia tego na balu się pokazała; była zupełnie biało ubrana, róża biała, przy grzebieniu przypięta zdobiła jéj głowę, a bukiet z róż białych stanowił całą ozdobę jéj śnieżnéj sukienki; ale Basia tak była skromną i miłą, ze *pomimo prostoty ubioru* niewymownie się ładną wydawała.—Wejście Elżusi na bal nie zrobiło tak nadzwyczajnego wrażenia, jak to sobie obydwie z Matką obiecywały! Xiężna pochwaliła okazały ubiór i piękność Elżusi, dziękując Pani Tomszyckiéj, że tak ładną ozdobą przyczyniła się do świetności jéj balu; Basia pochwaliła także Elżusię, ale bez uniesienia, a to się jéj wcale nie podobało. Usiadła koło Matki i odtąd jedynie tylko przybycia do-

stojnego gościa wyglądała; bo jéj główka zupełnie zawrócona okazałością królewskich ozdób, nie sądziła nikogo godnym jéj ręki do tańca, prócz tego o którym nie wątpiła ani chwili, że ją nad wszystkie dziewczynki przeniesie.—Zaczęto tańcować, bo znakomity Pan *kazał* oświadczyć, że spóźni swoje przybycie, a nie chce przeszkadać ogólnéj zabawie. — Elżusia odmawiała wszystkim *chłopczykom, którzy w ubiorach majtków, postylionów, ogrodników* albo pasterzy, ją do tańca zapraszali, oddalając ich od siebie z dumną *obojętnością*, a że na początku balu, żaden wytwornie ubrany rycerz, ani xiąże nie znajdował się w sali, siedziała *niepo*ruszona koło swojéj Mamy, ziewając niekiedy, ale nie nudząc się, póki każda nowo przybyła dama, oglądała i chwaliła jéj kostium okazały. — Już i to źródło przyjemności zostało wyczerpane dla naszéj Elżusi, wszyscy się zje-

chali, nikt się już nie zastanawiał przed Panią Tomszycką, i małą królową: kiedy weszła rodzina Bereckich a z nią dwóch chłopczyków bardzo bogato ubranych; jeden jak sułtan Turecki, drugi jak cesarz Chiński! z temi to ja będę tańcować; bo oni przecie cokolwiek do mnie podobni; rzekła do siebie z uśmiechem Elżusia, i wyglądała niecierpliwie rychło ją ci zagraniczni mocarze *zaproszą* do *mazurka*; ale oni przestrzeżeni od *kollegów o niegrzeczności* Polskiéj królowéj ani się nawet przybliżyli do niéj i wesoło tańczyli z Cygankami, Hiszpankami i Krakowiankami, a najjaśniejsza Pani z całym urokiem swoiéj korony, siedziała smutno przy Mamie. Miła Basia, o któréj już wam wspomniałam, lubo dopiero lat dziewięć liczyła, pełna była wdzięku, uprzejmości i słodyczy; zastępując w przyjmowaniu małych gości, młodsze jeszcze od siebie xiężnéj córeczki, spo-

strzegła Elżbietkę na dawném swém miejscu prawie już usypiającą z nudów, przybiegła do niéj, i za pozwoleniem Pani Tomszyckiéj do grona dzieci ją z sobą zabrała; tam naszę próżną dziewczynkę istotne spotkało *upokorzenie;* bo Basia prosić chłopczyków musiała ażeby ją brali do tańca; nie bardzo zgrabny, ale wesoło spozierający na nią góral podał Elżusi rękę, a ta znudzona długiém *oczekiwaniem okazalszego kawalera, musiała poprzestać* na tak gminnym tańcerzu. — Cichy szmer oznacza nakoniec znakomitego gościa *przybycie,* muzyka ucichła; dzieci w piękne ustawione koło, sprawiają widok nader miły; Basia jak biały aniołek stała przy wejściu najpiérwsza, zastępując domowe dzieci; Elżusia zręcznie się wsunęła obok Basi; bo sobie pochlebiała, że będąc najbogaciéj ubraną; z nią, a nie z żadną inną, dostojny gość taniec Polski rozpocznie; wchodzi on wraz z *xiężną*

w grono ładnych dziatek, i okazuje miłym uśmiechem ile mu ten widok przyjemności sprawia. — Naszéj Elżusi serduszko tak wcześnie już naganną namiętnością miotane, bije mocno pod złocistą szatą, wspina się na paluszki, uśmiecha i bystro na przechodzącego gościa, piękném swém czarném rzuca okiem; ale on z uprzejmością sobie właściwą, ogólnie wszystkie chwali kostiumy i ładne *twarzyczki* które im powabu dodają! *każdéj Matce coś pochlebnego* o jéj dzieciach nadmienia, ale Elżusia nie zastanawia go szczególnie. Ta panienka jest bogato ubrana, mówi do xiężnéj spoglądając na nią, ale jakże jéj gorąco w tak ciężkich szatach być musi. To wymówiwszy, bierze za rękę skromnie i nisko kłaniającą mu się Basię i z nią Polski taniec rozpoczyna.— Spadła w téj chwili jakby zasłona z oczu Elżbietki, coś podobnego do rozpaczy (jeżeli rozpacz w tak młodym umyśle

mieścić się może) ścisnęło gorzko jéj serce.... Znikła w téj chwili dla niéj cała okazałość balu! cały urok własnéj i przydanéj tylą ozdobami piękności..... Elżusia była w tym wieku, moje dzieci, w którym taić swoje uczucia, nie jest jeszcze ani potrzebą ani obowiązkiem; zapłonęła się mocno, i łzy obfite ronić zaczęła. Pani Tomszycka macierzyńskiém okiem śledząc wszystkie poruszenia swéj córki, przybiegła zaraz do niéj i pod pozorem gorąca wielkiego, uprowadziła ją do pobliskiego gabinetu, gdzie zdjąwszy z niéj wierzchnią suknią i część ozdób błyszczących, które jéj do tańca przeszkadzać by mogły, zganiła surowo jéj żal niewczesny, kazała oczy wychuchać, wesołą twarz okazać i z każdym odtąd tańcować bez żadnej wymówki. — Bo Pani Tomszycka słusznie się obawiała śmieszności, którąby ten acz drobny, ale w towarzystwie skwapliwém do szyderskich spostrzeżeń, na-

der zabawny wypadek na obydwie mógł sprowadzić. — Wróciły do salonu po krótkiém oddaleniu się; Elżusia rozkazem Matki zniewolona, przyjęła rękę rybaka dziwacznie przebranego z siatką pełną złotych rybek na plecach, i stanęła z nim na samym końcu kolumny, któréj czoło zajmował dostojny gość z Basią. Odtąd Elżusia nie przebierała w tańcerzach, skakała nawet wesoło; bo wiek dziecinny ma ten przymiot szczęśliwy, że zmartwienie jak rosa na szkle czystém, blaskiem słońca oszuszona niknie w jego umyśle, za piérwszym promieniem radości. Ale nauka, którą ona tego odebrała wieczora, skutkowała widocznie na próżny umysł Elżbietki; nauczycielka jéj ile razy się oddać chciała zbytniemu zarozumieniu o sobie, przypomniała jéj ową błyszczącą koronę, owe wytworne stroje, które tak mało jéj sprawiły przyjemności wtedy, kiedy prosty bukiet z białéj róży, i skro-

mna postać Basi, chlubnym wyborem dostojnego gościa zaszczycone zostały. — Elżusia pokorna minką, spuszczonemi ładnemi oczkami, obiecywała szczerze że się poprawi, prosząc tylko żeby jéj już nieprzypominano szczegółów tego dla niéj tak niemiłego wieczoru! i dotrzymała słowa, bo była odtąd jedną z najgrzeczniejszych i najlepiéj uczących się panienek w Warszawie. — To dla was ta powieść Zosiu i Stasiu, rzekła Karolcia śmiejąc się, wy będziecie w kadrylach na jutrzejszym baliku, was będą chwalić i uwielbiać, a może i nie tak jak Elżusię; my zaś z Anielką, w białych sukienkach naszych, niebędziemy o próżność posądzone; a kto wie czy nas tam jaki zaszczyt nie spotka. — Powieść istotnie Babuniu stosowna do okoliczności; ale cóż, kiedy nad jéj opowiadaniem, ani się cieszyć, ani płakać niema czego; tak osądził Staś ostatnią powieść pani Uszyckiéj. — Babuniu dro-

ga! ja ci dziękuję, rzekła Zosia; bo ja już umiem ocenić tę wadę któréj ukaranie tak nam przyjemnie przedstawiłaś! ja w moim wieku już próżność rozumiem i dla tego za tak trafinie oddany jéj obraz, ja może jedna dziękować ci zdolną jestem. — Tak się zakończyły powieści dobréj Babuni! — Życzę z serca, ażeby was drogie dziatki tak zabawić mogły jak bawiły małą Złotomskich rodzinę; a wtedy może znalazłaby wam jeszcze co powiedzieć, i na rok drugi Babunia.

